



Wybrzeże Złote. — Chrześcijańskie niewiasty z Elminy w uroczystym stroju; podług fotografii.

NA WYBRZEŻU ZŁOTEM.

(Afryka Zachodnia).

Podług dziennika O. Galland'a.

Piękny był dla mnie dzień 18 września 1893 r., w tym dniu bowiem spełniły się najdroższe młodzieńcze me marzenia. Odpłynąłem do Afryki, aby przyłączyć się do działalności ewangelicznych pracowników.

Celem mojej podróży było Wybrzeże Złote, dokąd płynąłem bez najmniejszej nadziei powrotu kiedykolwiek do ojczystego gniazda. Towarzyszyli mi dwaj młodzi kapłani, przeznaczeni również do misyj afrykańskich, wszyscy zaś trzej z całego serca złożyliśmy Bogu w ofierze nasze życie.

Nadto wiedzieliśmy dobrze, że nie powinniśmy nawet marzyć o powrocie do Europy, widzieliśmy bowiem tylu misyjnarzy, puszczających się w tę samą, co i my, podróż, a tak nie wielu wracających, żeśmy nie mogli sobie pochwalać, aby los bardziej dla nas, niż dla nich, miał się okazać łaskawym.

Po kilkudniowej żegludze dotarliśmy wreszcie do Złotego Wybrzeża, pierwsze jednak wrażenie, jakieśmy

ztamtąd odnieśli, nie należało wcale do dodatnich. Łąd, w pobliżu którego musieliśmy przepływać, był bardzo niski i według wszelkiego prawdopodobieństwa klimat tam niezbyt zdrowy być musiał. Wreszcie pewnego rana spostrzegliśmy nie wielkie, ale ładne miasteczko, w pobliżu zaś niego twierdzę, na szczycie której powiewał sztandar angielski. Była to Elmina.

Od strony morza malownicza ta miejscina wspinała przedstawia widok. Z głuchym łoskotem fale morskie rozbijają się o skałę, na której się wznosi warownia św. Jerzego. Dalej nieco twierdza Santjago, służąca za więzienie, panuje ze szczytu góry nad całym miastem rozpostartem u jej podnóża. Białe mury obu tych fortec jaśnieją z oddali wśród przepysznej zieleni palm kokosowych, olbrzymich krzewów bawełny i rozmaitych drzew owocowych, rosnących na górach. Chociaż najwyższa z tych gór ma zaledwie 40 metrów wysokości, dzięki jednak optycznemu złudzeniu, nader często doświadczanemu na wybrzeżu, wydają się one z oddali daleko wyższymi.

Z radością w sercu wysiedliśmy z okrętu do niewielkiej łodzi, w kilka zaś chwil później wylądowaliśmy na dość ładnym bulwarze, do którego wiodą kamienne schody. Natychmiast otoczył nas tłum mężczyzn i dzieci,

mniej lub więcej przyzwoicie ubranych, ale jak się zda-
wało, zadowolonych zupełnie ze swojego losu. Powie-
rzywszy im nasze pakunki, podążamy do missyi wśród
licznego grona dziatwy, witającej nas z zapalem.

W missyi znaleźliśmy O. Legeay'a, który tego
dnia wstał po raz pierwszy po ośmiodniowej chorobie,
blada zaś twarz jego zdradzała wyraźnie, że i teraz
jeszcze stan zdrowia biednego kapłana wiele pozostawiał
do życzenia. Przed kilkoma miesiącami misjonarz ten
opuścił Europę, chlubiąc się tem, że jest silny jak lew,
dziś siły jego zupełnie już się wyczerpały, do tak smu-
tnej zaś zmiany wystarczyło zaledwie kilka miesięcy
pobytu na Wybrzeżu Złotem.

Wieczorem tegoż samego dnia dwaj moi towa-
rzysze podróży w dalszą wyruszyli drogę, jeden z nich
bowiem przeznaczony był do Dahomeju, drugi zaś do
Beninu. Co do mnie, to postarałem się przedewszyst-
kiem poznać jak najrychlej miejsce, które miało być
odtąd polem mej pracy i ludzi, mających tworzyć od
tej chwili moje otoczenie.

Najprzód wraz z O. Legeay'em wyszliśmy na ry-
nek, leżący o kilka kroków od rezydencji missyjnej.
Siedziało tam wówczas kilkaset kobiet, które ujrawszy
nas, zaczęły uspakajać krzykliwe dzieciaki, dźwigane
we worku na plecach. Ponieważ wszyscy bez ceremonii
nam się przypatrywali i ja więc zacząłem ciekawie
przyglądać się temu światu, tak zupełnie dla mnie no-
wemu. Wśród nader licznego tłumu ludzi nie brakło
naturalnie najrozmaitszych typów, nigdzie jednak nie
dostrzegłem tak okropnych twarzy, jakie w ilustrowa-
nych wydawnictwach europejskich stanowią charakte-
rystyczną cechę murzynów. Jeżeli tak szkaradny typ
murzyński rzeczywiście gdziekolwiek istnieje, to z pew-
nością nie tutaj, a przynajmniej nie w całej swej ohy-
dzie. Wprawdzie większa część mieszkańców Złotego
Wybrzeża ma wargi nieco grubsze, nozdrze zaś trochę
szersze, niż u Europejczyków, ale i tutaj możnaby zna-
leść typy, które tylko kolorem skóry różniłyby się od
białych. Zaznaczyć też mogę, że od chwili przybycia
do Elminy nie napotkałem ani jednej prawdziwie szpe-
tnej, albo wstrętnej twarzy.

Cóż na rynku się sprzedaje? Przedewszystkiem
owoce, po większej części mało znane w Europie, ale
wybornym odznaczające się smakiem. Pierwszeństwo
wśród nich należy przyznać bananom, obok zaś nich
wymienić możemy ananasy, mangi, papaje, pomarańcze,
kokosowe orzechy, cytryny, trzcinę cukrową i t. p.

Również ważny artykuł handlu stanowią ryby,
a zwłaszcza śledzie świeże i wędzone, tudzież olej
i wino palmowe, chleb z kukurudzy, a wreszcie jaja.
Co do tkanin, tytoniu, fajek, mydła, zapalek i świec, to
łatwiej znaleźć je można w nędznych, malutkich sklepi-
kach, niżeli na rynku. Najtrudniej zaś zdobyć w Elmi-
nie drób, lub kawał świeżego mięsa, który u najbo-

gatszych nawet mieszkańców nigdy prawie nie pojawia
się na stole.

Z rynku podążamy niebawem na sąsiednie wzgó-
rze, z którego szczytu malowniczo na morze i całe
miasto roztacza się widok. Na prawo widzimy rzekę
Bejah, łączącą się bezpośrednio z morzem i wzbierającą
regularnie podczas każdego jego przypływu tak, że
woda z niej nie nadaje się wcale do gotowania lub pi-
cia. Na lewym brzegu tej rzeki, ocienionym tu i owdzie
kokosowymi palmami, rozpościera się nowe miasto, zło-
żone niemal wyłącznie z nędznych domków z ubitej
gliny, pokrytych trawą lub liśćmi palmowemi. Ze sta-
rego miasta, które się niegdyś wznosiło na prawym
brzegu Bejahu, nie pozostało już ani śladu, Anglicy
bowiem zbombardowali je i zniszczyli do szczętu.

Nad samem niemal morzem leży tak zwana dziel-
nica białych, zamieszkiwana dziś wprawdzie przez mu-
rzynów, ale której domy noszą jeszcze ślady czasów
holenderskiego panowania. Widać tam nawet dotąd
szczątki przepysznych marmurowych schodów.

W dzielnicy tej rozpoczyna się szeroka i drzewami
wysadzana droga do Cape-Coast, którego sylwetka tak
wyraźnie rysuje się w oddali, iż możnaby sądzić, że
twierdza ta znajduje się w odległości paru kilometrów.

Na niewielkim placu, w miejscu, gdzie się łączą
dwie również szerokie i cieniste ulice, stoi świątynia,
ozdobiona krzyżem. Nie jest to, niestety, kościół kato-
licki, ale kaplica Weslejanów, którzy wraz z Anglikami
przybyli do Elminy. Wprawdzie nie imponuje ona wiel-
kością lub bogactwem, ale pomimo swej prostoty nader
pięknie się przedstawia. Kiedy katolicy wybudują dla
siebie taką świątynię, to będą mogli słusznie nią się
pochlubić.

Wszędzie, którędy przechodzimy, witają nas kra-
jowcy we francuskim, angielskim lub miejscowym ję-
zyku *fanti*, dzieci zaś niekiedy do słów powitania do-
dają jeszcze prośbę: „Daj mi pieniędzy“.

Wreszcie wracamy do missyi. Jestto budynek,
który niegdyś musiał być dość piękny, przynajmniej
stosunkowo do tutejszych wymagań, dziś już jednak
chyli się ku upadkowi. Podczas deszczu woda leje się
jak przez przetak do pokojów, dach bowiem jest płaski,
niepodobna więc zatkać wszystkich szczelin, jakie z dniem
każdym w nim się tworzą. Przy końcu werandy, opa-
sującej cały budynek, mieści się kaplica wprawdzie nie
wielka i dość uboga, ale w której jednak można rów-
nież dobrze się modlić, jak w najwspanialszym kościele.
Tu i owdzie zresztą, jak na parterze, tak też i na pię-
trze mieściły się przez czas pewien klasy, dotąd bowiem
missya nie zdołała osobnej wybudować szkoły.

W powyższej rezydencji missyjnej mieszkaliśmy
jeszcze przez 6 miesięcy, lecz nakoniec musieliśmy ją
opuścić, bo gdybyśmy tam pozostali parę miesięcy dłu-
żej, to pewnego dnia cały dach zwałiby się nam na

głowę. Wprawdzie każdy z nas prędzej lub później musi umrzeć, śmierć jednak pod gruzami nie jest ani miłą, ani pożądaną. Sama myśl, że rezydencya missyjna mogłaby runąć podczas odbywania w niej lekcji, przejmuje nas dreszczem, wówczas bowiem około stu osób padłoby ofiarą tej katastrofy.

Okolice Elminy są piaszczyste i niezbyt żyzne. Wprawdzie w Europie umianoby nawet takie zużytkować grunta, tu jednak tylko najżyźniejsze obszary bywają uprawiane. Zdumiewającą w istocie jest rzeczą, jak mało potrzeba pracy na Wybrzeżu Złotem, aby otrzymać wyborne plony kukurudzy i manioku. Niestety, tutaj, jak i wszędzie zresztą, ludzie trudniący się uprawą roli, niezbyt wielkim cieszą się szacunkiem, nazwa zaś *buszmena* albo rolnika, ogólną otoczona jest pogardą. Nieraz się zdarza, że dwaj krajowcy sprzecząc się ze sobą, używają nawzajem nazw rozmaitych zwierząt, jako niezbyt pochlebnych epitetów, na zakończenie zaś tej sprzeczki rzucają sobie pogardliwie przydomek *buszmana*, uchodzący w ich oczach za największą obelgę.

Obok rolnictwa wymienić też należy rybołówstwo, gdyż pewna część mieszkańców Elminy utrzymuje się wyłącznie ze sprzedaży śledzi poławianych w ogromnej ilości. Nadto niekiedy poławiają się też nie wielkie, lecz bardzo smaczne rekiny, jak również żółwie morskie, których mięso wszakże zanadto jest tłuste.

Mieszkańcy Elminy, należący do plemienia Fanti, słyną także jako wioślarze z niezwykłej zręczności w kierowaniu łodzią wpośród wzburzonego morza. Jeżeli krajowcy ze Złotego Wybrzeża nie mogą się pochłubić rycerską odwagą i drżą przed dzikim plemieniem Aszanti, to natomiast nie braknie im energii, niezbędnej do wywiązywania się wybornie z trudnego zadania przewoźników. Skoro zaś pomimo ich zręczności łódź ulegnie rozbiciu, wówczas starają się przedewszystkiem ocalić wziętego przez siebie białego, i bardzo rzadko się zdarza, aby Europejczyk zginął podczas żeglugi, każdy bowiem wioślarz poczytuje sobie za punkt honoru, uratować go choćby z narażeniem własnego życia.

Wogóle murzyni mają daleko więcej dodatknych cech charakteru, niżby na pierwszy rzut oka spodziewać się należało. Jeden z głównych ich przymiotów jest czystość i ochędóstwo. Słowa te zdziwią może niejednego Europejczyka, a jednak kreśląc je, najmniejszej nie popełniłem przesady. Już od lat najmłodszych mały murzynek przyzwyczaja się do dbałości o swoją osobę, codziennie bowiem matka wzięwszy go na kolana, naciera mydłem, myje go od stóp do głowy. Co do dorosłych murzynów, to wszyscy bez wyjątku kąpią się przynajmniej parę razy na dzień, najprzód w morzu, potem zaś w rzece, a wreszcie po kąpieli nacierają się olejem palmowym, który całemu ich ciału ładny na-

daje połysk. Zamiłowanie czystości tak głęboko jest zakorzenione, że nieraz dziatwa szkolna wypęda z pomiędzy siebie towarzysza, który na lekcję przyszedł nieumyty. Wreszcie murzyni dbają bardzo o czystość zębów, nacierając je codziennie kawałkiem pewnego drzewa, albo też żując rozmaite rośliny, które zdają się posiadać jakieś antyseptyczne własności.

Co do stroju, to przedewszystkiem należy odróżnić jednostki, które po przyjęciu Chrztu świętego, albo też dzięki wykształceniu, polegającemu na nauce czytania i pisania, mniemają, że godność ich wymaga naśladować białych o ile możliwości i ubierają się po europejsku. Co się tyczy krajowców pogan lub analfabetów, to cały ich strój składa się z mniej lub więcej długiej i ładnej przepaski. Nadto mężczyźni zarzucają sobie na lewe ramię kawał jakiegokolwiek tkaniny, spotkawszy zaś kogokolwiek wyższego od siebie stanowiskiem lub wykształceniem, odsłaniają to ramię na znak szacunku. Mali chłopcy nie noszą nawet przepasek, gdyż z pewnością byliby je zgubili, dziewczęta zaś oprócz wąskiego paska na biodrach, ozdobionego paciorkami, mają jeszcze najczęściej na plecach niewielki worek, w którym młodsze dźwigają rodzeństwo. Ciekawy zaiste jest widok kilkuletniej dziewczynki, która sama zaledwie nauczywszy się chodzić, domaga się, by jej powierzono młodszego braciszka lub siostrzyczkę i z komiczną powagą niesie swój ciężar.

Perkalowa chustka, zawiązana dokoła głowy, uzupełnia strój poganek z Elminy. Młode Weslejanki nie mające jeszcze sukien, noszą oprócz przepaski perkalowe kamizelki, które im osłaniają piersi i ramiona.

Mężczyźni mają zwykle ogolone głowy, kobiety zaś poczytują włosy za najpiękniejszą swą ozdobę i w najrozmaitszy układają je sposób. Niekiedy jednak murzynka, choćby najbardziej dumna z gęstych czarnych swych włosów, musi pomimowoli wyrzec się tej ozdoby. Zdarza się to wówczas, gdy umrze jaki członek najbliższej rodziny, zwykle bowiem w takim razie kawał stłuczonej flaszki gwałtownie pociągnięty po głowie, goli ją tak szybko i dokładnie, jak brzytwę najbieglejszego fryzjera.

Pragnąc się przypatrzeć narodowemu kostiumowi murzynów z plemienia Fanti, należy przybyć do Elminy w dzień jakiejś solennej uroczystości, wówczas bowiem każdy w najpiękniejsze ubiera się szaty. Wprawdzie ubiór męski składa się tylko z jedwabnych przepasek, ale natomiast kobiety przywdziewają na siebie wszystko, co mają najdroższego i wtedy to można najlepiej się przekonać, że się znajdujemy na Wybrzeżu Złotem. Oprócz bowiem przepysznych przepasek, murzynki odznaczają się od innych kobiet olbrzymią ilością klejnotów z czystego złota. Niektóre z nich mają we włosach dwa złote grzebienie i mnóstwo złotych szpilek, jak również po 8 bransolet na rękach i nogach,

olbrzymi łańcuch, opasujący kilkakrotnie szyję, na wszystkich zaś palcach u rąk i nóg grube i szerokie pierścienie. Wszystkie te klejnoty wyrabiają się w Elminie z najczystszej złota. Zresztą nie należy z nich wnioskować o bogactwie mieszkańców tego miasta. Ponieważ kruszec ten prawie wcale się nie zużywa, klejnoty więc z niego wyrobione przechodzą z matki na córkę, nie tracąc wartości.

Czytałem niedawno temu, że pewien wódz ze Złotego Wybrzeża, pragnąc jak najwspanialej się ustroić, kazał swym żonom nasmarować sobie całe ciało olejem palmowym i osypać je piaskiem złotym od stóp do głowy. Trudno byłoby zaiste świetniejszy wynaleść kostium.

Jakśmy to wyżej zaznaczyli, murzyni, o których Europejczycy nader niekorzystnie mają pojęcie, przy bliższym ich poznaniu w daleko lepszym przedstawiają się świetle. Do nader sympatycznych cech mieszkańców Złotego Wybrzeża, należy to, że podobnie jak za patryarchalnych czasów, wyraz rodzina, posiada u nich szersze, niż gdziein-dziej znaczenie. W Elminie na przykład, rodzina składa się nie tylko z ojca, matki i dzieci, ale obejmuje nawet bardzo dalekich niekiedy krewnych, jak również wszystkich niewolników. Nieraz zdarza się słyszeć, jak dzieci pana i jego niewolnika nawzajem nazywają się braćmi.

Nadto każdy murzyn z plemienia Fanti nadaje nazwę matki nie tylko tej, która dała mu życie, ale również wszystkim ciotkom, babkom i starszym kuzynkom, wujów zaś i stryjów nazywa ojcami. Nieraz z początku bardzo się dziwiłem, dowiedziawszy się, że ten lub ów murzyn ma tyle dzieci, a zwłaszcza że to, lub owo dziecko ma tylu ojców i matek. Chcąc się dowiedzieć, jak się nazywają rodzice dziecięcia, trzeba mu zadać dokładniejsze pytanie. Nazwa braci i sióstr również szerokie ma zastosowanie. Tak na przykład, w Lagosie zapytałem raz pewnego człowieka, czy kobieta, którą zawsze nazywał swą siostrą, jest przynajmniej jego kuzynką.

— O nie — odparł — ale mój ojciec i jej matka, należeli do plemienia Egba.

Nie tylko jednak w teorii, ale nawet i w praktyce duch braterstwa u murzynów do nader wysokiego rozwinięty jest stopnia. Wszyscy, którzy się nazywają braćmi, zasiadają razem dokoła kociołka z ulubioną potrawą *fufu* i jedni drugim pożyczają ubrania. Nawet pomiędzy dziećmi zupełnie sobie obcymi istnieje niezwykła solidarność, nieznana prawie w Europie. Jeżeli jedno z nich na przykład kupi za parę centów trochę trzciny cukrowej lub owoców, to podzieli się nimi natychmiast ze wszystkimi obecnymi tam towarzyszami.

Nigdzie też na całym Wybrzeżu Złotem nie ma ani przytulisk, ani ochronek, uważanych za rzecz zupełnie zbyteczną, gdyż każda rodzina otacza opieką wszystkich swych chorych lub ubogich członków.

Naturalnie dzięki tak ścisłej spójni rodzinnej, związki małżeńskie daleko mniej niż w innych afrykańskich krajach pozostawiają do życzenia. Wieloletnie małżeństwo wprawdzie istnieje, ale tylko wśród możnych warstw



Wybrzeże Złote. — Twierdza św. Jerzego koło Elminy; podług fotografii.

pogańskiej ludności, rozwody zaś nader rzadko się zdarzają. W razie rozłączenia się małżonków, dzieci pozostają pod opieką matki, która zwykle więcej kocha je, niż ojciec. Charakterystyczną cechą u mieszkańców Złotego Wybrzeża jest to, że zwykli oni nadawać swym dzieciom nazwę tego dnia, w którym się urodziło. Nawiasem dodać tu wypada, że każdy dzień w tygodniu poświęcony jest pewnemu opiekuńczemu duchowi, któremu nazwę swą zawdzięcza. Tymi siedmiu duchami są Eisi, Adzo, Bena, Wiku, Jaw, Efii, Emen, stosownie zaś do tego niedziela zowie się tam *Kweisida*, poniedziałek *Adzoda*, wtorek *Ebenada*, środa *Wikuda*, czwartek *Fjawda*, piątek *Efida*, sobota zaś *Memenda*.

Nadto jeżeli dziecko natychmiast po urodzeniu zostanie oddane pod opiekę jakiegoś opiekuńczego bóstwa, to zowią je wówczas *Odonko*, czyli niewolnikiem festysza.

Nie od rzeczy też będzie nadmienić tu o główniejszych nazwach nadawanych przez Fantisów czyli murzynów ze Złotego Wybrzeża Najwyższej Istocie. Wbrew dotychczasowemu mniemaniu Europejczyków, są oni monoteistami, wierzą bowiem tylko w jednego Boga, którego zowią *Nyankopu*, *Nyankopson*, albo *Nyame*. Ostatnia ta nazwa oznacza również sklepienie niebieskie, będące siedliskiem Najwyższej Istoty. Nadto krajowcy zowią niekiedy Boga *Odомankoma*, czyli najbogatszym, lub *Otumfoo*, to jest wszechmocnym. Sama ta nazwa wskazuje, że chociaż murzyni przypisują podrędnym duchom lub fetyszom pewien wpływ na wszystko, co się dzieje na ziemi, wierzą jednak niezachwianie w istnienie Najwyższej Istoty, której władzy podlegają nie tylko ludzie, ale także wszystkie fetysze wraz z całym stworzeniem. W rozmowach Fantysów miano *Nyankopu* niemal co chwilę się powtarza. »*Nyankopu* to widzi; *Nyankopu* to wie; *Nyankopu* nie będzie cię błogosławił«, mawiają murzyni, wzywając Boga na świadka wszystkich swych czynności. Od Niego również zależy życie lub śmierć, zdrowie lub choroba człowieka. »Nie umrzesz, jeżeli sam *Nyankopu* cię nie zabije, On bowiem na ciebie zesłał tę chorobę«, zwykli mawiać Fantysi, odwiedzając chorych krewnych lub przyjaciół.

Z drugiej strony krajowcy wierzą w egzystencję szatana, czyli złego ducha, zwanego *Abosam*, który wraz z duszami wszystkich złych ludzi mieszka w piekle, oznaczanem nazwą *Abosamkurow*, czyli miasta szatana.

Zdawałoby się mogło, że lud, który ma tak piękne o Bogu pojęcie, do Niego właśnie powinien się modlić, Jemu składać hołdy i ofiary. Niestety dotąd jeszcze wszystkie ofiary i modlitwy pogan ze Złotego Wybrzeża, odnoszą się wyłącznie do fetyszów.

Nie należy jednak sądzić, że fetysze są to posągi z drzewa lub kamienia. Nazwa ta oznacza raczej duchy niższego rodzaju, zależne od Boga, który to lub owo miasto, tę lub ową rodzinę powierzył ich pieczy. Mogą

więc oni czynić ludziom wiele dobrego lub złego, ale jak się zdaje, wolą to ostatnie, dlatego też krajowcy proszą ich zwykle o szkoderstwo swym wrogom.

Niektóre z nich podług mniemania murzynów wchodzą niekiedy do ciał ludzkich i wówczas nieszcześliwie, opętane przez nich osoby, wpadają w prawdziwy szal, albo dziwaczne wyprawiają skoki.

Jedne z tych duchów mieszkają w drzewach, drugie w rozpadlinach skał, wzgórzu zaś, na którym się

wznosi missya elmińska, zostaje pod opieką dwóch potężnych fetyszów. Gdy kilkakrotnie gwałtowny wicher obalił szopę, w której się przechowywało wapno, deski i inne materiały do budowy rezydencji missyjnej, wówczas poganie zaczęli głosić, że fetysze nie chcą, abyśmy zamieszkali na ich gruncie, protestanci utrzymywali, iż jest to widocznym dowodem, że Pan Bóg nie chce im błogosławić, a Ojciec Legeay mawiał ze śmiechem: »Mnie się zdaje, że to jest po prostu szatański jakiś figiel«.

Co do olbrzymich, niekształtnych posągów, napotykanych nader często w innych zakątkach Złotego Wybrzeża, to Elmina prawie wcale ich nie posiada. Wogóle zresztą wszystkie fetysze mają naturalne siedliska w rozłożystych konarach drzew, jeden zaś z nich, jak twierdzą krajowcy, posiada własność czynienia niezwyciężonymi tych wszystkich, którzy składają mu

hołdy. W tym celu wystarcza przed wyruszeniem na wojnę spalić niewielki kawałeczek poświęconego mu drzewa, każdy zaś, kto to uczyni, może być pewny, że powróci zwycięzcą.

— Dlaczegoż więc? — zapytałem pewnego razu jednego poganina, nie paliliście tego drzewa wówczas, kiedy Anglicy zaczęli bombardować Elminę?

— Owszem — odparł zagadnięty — nie omieszkaliśmy tego uczynić, ale fetysz rozgniewany na kilka złośliwych kobiet, pozostawił nas na łaskę i niełaskę Europejczyków.

Przed domniemanem siedliskiem fetyszów znajduje się zawsze ogromne naczynie, zawierające wodę, wino



Wybrzeże Złote. — Naczelnik wioski Adzua koło Elminy; podług fotografii.

palmowe, liście, jaja i muszle. Mając przepowiedzieć komuś przyszłość, fetysz potrąca gwałtownie tem naczyń, z dźwięku zaś wydawanego przez muszle i jaja, wnioskuje krajowcy o wypadkach, mających spotkać jakąś osobę, albo też całą krainę.

Ponieważ większa część chorób przypisywana jest fetyszowi, gnieźdzącemu się w ciele ludzkim, dlatego też krajowcy pragnąc go się pozbyć, uciekają się niekiedy do podstępów. Oto zabiwszy na cześć złośliwego ducha jakiegokolwiek domowe zwierzę, niosą je po za miasto, gdyż mają nadzieję, że fetysz wejdzie do ciała tego zwierzęcia i przestanie dręczyć chorego.

Łatwo się domyślić, że u tak zabobonnego ludu czarownik, to jest człowiek, który zawarł z szatanem przymierze, nader ważną odgrywa rolę. Każdej nocy, jak twierdzą krajowcy, czarownik, podobnie jak wąż, zrzuca z siebie skórę i zaczyna przebiegać całą krainę. Wówczas zwykle przez oczy, nos, usta, uszy, a nawet pomiędzy zębami, wydobywają się płomienie, czarownik zaś chodząc na głowie, porywa rozmaite zwierzęta i żywcem je pożera. Może on również wtedy zamienić się dowolnie w lamparta, węża lub antylopę, albo wywołać śmierć swoich nieprzyjaciół; wysysając ich krew lub wydierając im serce, które następnie smaży i zjada. Niekiedy także kąsa wówczas ludzi, poczem całe ich ciało pokrywa się wrzodami, które sam tylko czarownik może uleczyć w mgnieniu oka.

W rękę czarowników spoczywa też monopol handlu amuletami, zwanymi *suman*, który dzięki łatwowierności krajowców, olbrzymie przynosi im zyski. Za amulety służą rozmaite przedmioty, jak na przykład pióra, włosy, paciorki, kawałki skóry lub papieru, zęby rybie lub zwierzęce i t. p., murzyni zaś mają je zwykle zawieszane na szyi, rękach lub nogach. Nie wszystkie wprowadzie amulety jednakową posiadają własność, jedne z nich bowiem leczą z rozmaitych chorób, drugie zabezpieczają od klęsk lub nieszczęść, wszystkie atoli jak mówią poganie, są skuteczne.

Nie braknie też na Wybrzeżu Złotem mniej lub więcej charakterystycznych religijnych obrzędów. Tak na przykład po urodzeniu się każdego dziecięcia, a zwłaszcza bliźniąt, zwanych *otakuma*, odbywa się uroczyste obmywanie dziecięcia odwarem z pewnej rośliny, poczem niemowlę otrzymuje bransoletę, którą musi nosić przez całe życie. Ablucya taka, czyli *abam* powtarza się przed każdymi żniwami.

Podczas zaręczyn przyszły małżonek podaje wódom wino palmowe i przedstawia im dziewczynę, którą pragnie poślubić.

Jeżeli jaki murzyn pozwoli swej żonie opuścić gniazdo rodzinne i wyjść za kogo innego, wówczas ta ostatnia smaruje sobie twarz i ramiona kredą, na znak, że już jest wolną, ponieważ kolor biały stanowi godło wolności.

Po śmierci męża żona ubiera się czarno, podobnie jak w Europie, chociaż okres żałoby trwa dłużej lub krócej, stosownie do tego, z jakiej rasy zmarły pochodził. Tak na przykład, wdowa po mulacie ubiera się czarno w przeciągu trzech lat, poczem może znowu przywdziać szaty białe lub kolorowe, a nawet wstąpić w powtórne małżeńskie związki. Żałoba po murzynie trwa znacznie krócej, oprócz zaś czarnego stroju, wdowa nosi jeszcze naszyjnik takiegoż samego koloru.

Wiadomo powszechnie, że mniej lub więcej kosztowne naszyjniki z paciorków, na całym zachodnim wybrzeżu Afryki, są bardzo poszukiwane. Dotychczas zauważyłem 46 gatunków różnorodnych naszyjników, ilość ta atoli musi być daleko większa, każdy zaś z nich dla murzynów odrębne posiada znaczenie.

Pewnego razu zdziwiło mię, że jakaś kobieta, której mąż umarł zaledwie przed kilkoma miesiącami, wyszła powtórnie za mąż. Cała ta rzecz odbyła się w tak ścisłej tajemnicy, że nikt nie umiał mi powiedzieć, jak się nazywa jej nowy małżonek.

— Zkądże wiesz o tem, że ona ma drugiego męża? — zapytałem murzyna, który mi przyniósł tę wiadomość.

Widzę to ztąd, że zmieniała naszyjnik — brzmiała odpowiedź.

Do najuroczystszych obrzędów u mieszkańców Złotego Wybrzeża, należy niezaprzeczenie pogrzeb.

Natychmiast po zgonie chorego rozpoczynają się pogrzebowe pieśni, stanowiące wyłącznie monopol kobiet. Intonuje je zwykle matka, żona lub najstarsza córka zmarłego. Pieśń ta śpiewana następnie chórem, dźwięczy taką boleścią, że słysząc ją po raz pierwszy, trudno od łez się powstrzymać. Po chwili wszystkie płaczki wychodzą na ulicę, dając znać mieszkańcom wioski za pomocą rozdzierających okrzyków i jęków, że ten lub ów pożegnał się ze światem.

Na pierwsze dźwięki żałobnych pieśni, cała miejscowa orkiestra, tudzież przyjaciele zmarłego i rumu, spieszą do domu osieroconej rodziny. Dokoła zwłok zasiadają kobiety, wydając tak okropne jęki i okrzyki, że możnaby je wziąć za objaw prawdziwej bolesti. Niestety, niejednokrotnie miałem sposobność się przekonać, że na umówiony znak, łkania natychmiast ustawały, a łzy przestawały płynąć. Podczas całej tej wrzawy najbliższa krewna zmarłego woła go od czasu do czasu po imieniu, obsypując jak najbardziej pieszczotliwymi nazwami, jakie tylko się znajdują w języku *fanti*. »Biedny mój przyjacielu, dlaczegoś mię opuścił — odzywa się z rozpaczą. — Obudź się, mój gołąbku!... Wstań, pójdźmy... nie chcę, żebyś mię samą zostawił!...

Tymczasem przed domem muzycy uderzają w bębny z całej siły, śpiewając zarazem tryumfalną pieśń, przezywaną niekiedy okrzykami: »On już wolny! on już

wolny!... Dużo wycierpiał na ziemi, teraz więc niech wypocznie» i t. p.

Co do zmarłego, to po obmyciu i ubraniu w najpiękniejsze szaty, kładą go na łóżko, gdzie odbiera hołdy od wszystkich znajomych. Każdy z nich wszedłszy do chaty, bierze kieliszek rumu i wylewa kilka kropel na cześć nieboszczyka, resztę zaś sam wypija. Im bogatszą jest rodzina zmarłego, tem więcej osób spieszy nawiedzić jego zwłoki, dopóki bowiem te ostatnie nie zostaną pogrzebane, dopóty rum nie znika ze stołu. Dlatego często pogrzeb odbywa się w kilka godzin po śmierci.

Zmarli poganie a zwłaszcza dzieci zostają zawsze otulone dużą matą przed złożeniem ich zwłok do grobu, trumien bowiem pogańscy murzyni nie używają wcale. Co do chrześcijan, to nawet najubożsi z nich starają się, aby zwłoki ich krewnych spoczywały w pięknej lakierowanej trumnie, przed zamknięciem zaś jej kładą tam również całą odzież zmarłego.

Przed przybyciem Anglików do Elminy, murzyni jak niegdyś żydzi, grzebali swych zmarłych we własnych domach, teraz to jednak surowo zostało wzbronione. Samobójcy i osoby zmarłe na ospę, grzebane bywają zwykle na osobnych, wyłącznie w tym celu wyznaczonych miejscach, zdaleka od dróg publicznych i wszelkiego ludzkiego siedliska.

Jeżeli po pogrzebie pozostało jeszcze trochę rumu dla muzyków i gości, wówczas rozpoczyna się orgia, trwająca niekiedy przez cały miesiąc. W ostatnich czasach, po pogrzebie pewnej starej kobiety wypito rozmaitych trunków za całe 2000 fr., w przeciągu zaś kilku tygodni grono żałobne tak wielką wyprawiało wrzawę, że mieszkańcy tej dzielnicy nie mogli spać spokojnie.

(Dok. nast.).

Z życia rodzinnego Japończyków.

(Dokończenie).

Pomiędzy nowemi wpływami, działającemi obecnie w celu polepszenia stanowiska i bytu kobiety, najbardziej może ważnym i doniosłym jest wpływ samej cesarzowej, która ku wielkiemu zdumieniu konserwatystów, wzięła stanowczy rozbrat z przestarzałemi tradycjami, występując otwarcie jako zwolenniczka wszelkiego postępu. Zamiast być niewidzialnem jakimś widmem dla swych podwładnych, cesarzowa stanęła na czele wszystkich japońskich kobiet i nową na krańcach dalekiego Wschodu rozpoczęła erę. Zresztą w dziejach Japonii nie po raz pierwszy to się zdarza.

Około r. 1000, to jest przy końcu epoki bajecznej, zjawia się w historii tej krainy sławna, bohaterska i wspaniała postać, jakiej wszystkie narody mogłyby

pozazdrościć Japończykom. Była to cesarzowa Dzingu-Kôgô, która słyszała tajemne jakieś głosy i przekonaawszy się, że pochodzą one od bogów, postanowiła ślepo być im posłuszną. Głosy te kazały jej udać się na Zachód, podbić rozległą krainę i zabrać z niej to, co miało stać się chlubą jej własnej ojczyzny. Atoli cesarz, małżonek Dzingu-Kôgô nie uwierzył w te widziadła i umarł przed urodzeniem się pierwszego syna. Wówczas cesarzowa zbudowała flotę, zebrała wojsko, zwołała dowódców i rzekła: »Chwała lub upadek cesarstwa zależy od tej wyprawy. Wam powierzam wykonanie mych rozkazów, które jeżeli będą lekceważone, to na was surowa spadnie kara. Chociaż jestem młodą kobietą, ufając jednak opiece bogów, tudzież wierności mego wojska i jego wodzów, przebiorę się za mężczyznę, aby stanąć na czele świetnej tej wyprawy. Idziemy podbić piękną i bogatą krainę. Jeżeli nam się to uda, to sława przypadnie wam w udziale, w przeciwnym zaś razie przyjmę na siebie całą winę i hańbę.

Wkrótce potem Dzingu-Kôgô podbiła Koreę i wraz z ogromnemi skarbami przyniosła ztamąd chińską religię, sztukę i cywilizację. Ponieważ jednak Japończycy usiłowali od najdawniejszych czasów zmniejszyć zasługi kobiet na korzyść mężczyzn, męską więc odwagę i energię tej cesarzowej przypisywali wpływowi jej syna, którego zaczęli czcić jako bożka wojny. Z biegiem lat cesarze japońscy zniewieścieli i zamknęli się w swych pałacach, aby się poświęcić pracy umysłowej, oraz popierać rozwój sztuk i umiejętności. Ze swej strony *Daimiosi* czyli feodálni książęta i wierni ich towarzysze Samurajowie nie tylko bronili kraju od napaści nieprzyjaciół, ale także troszczyli się o jego dobrobyt, oświatę i cywilizację, otaczając piśmiennictwo jak najtroskliwszą opieką.

Z początku nazwa *Samurai* oznaczała zarówno Daimiosów, jak i wiernych ich wasalów, później atoli zaczęto jej używać, mówiąc o wojownikach, którzy służyli *sojgunowi* czyli *tajkunowi* (naczelnemu wodzowi) i Daimiosom. W miarę jak szlachta pod wpływem bogactw i przywilejów, zaczęła się wyradzać, niewieściec i gnuśnieć, Samurajowie coraz większe zdobywali wpływy, dziś zaś gdy system feodalny upadł już zupełnie, im przypadło w udziale stać się pionierami nowej państwowej ery.

Od najdawniejszych niemal czasów przywiązanie do tronu i nieustraszona odwaga stanowiły charakterystyczne cechy nie tylko samych Samurajów, ale nawet ich żon i córek. Łagodne te i delikatne istoty, do książęcego przyzwyczajone przepychu, stawały się w razie potrzeby dzielnymi amazonkami, ucinając długie włosy, zamieniały przepyszne suknie na uniform wojskowy, jak i każda z nich posiadała i z taką samą odwagą, jak ich mężowie, występowały do walki.

Podczas oblężenia Waka-matsu, ostatniej twierdzy, bronionej przez sojguna w wojnie przeciw cesarzowi, obrońcy doprowadzeni do ostateczności, ukryli się w murach warowni, zabrawszy tam ze sobą swe dzieci i żony, które pod względem męstwa nie ustępowały wcale mężom. Wkrótce też kobiety zajęły się wyrabianiem łądunków, małe zaś dziewczynki nosiły je walczącym wśród grądu kul nieprzyjacielskich.

— Czy się nie bałaś wtedy? — zapytał ktoś później jednej z tych dziewczynek.

— Nie — odparła, pokazując malutki stalowy sztylecik, z którym podczas oblężenia nie rozstawała się ani na chwilę.

— Pocóż go nosiłaś?

— Aby go mieć przy sobie w razie dostania się w niewolę.

— A cóżbyś z nim zrobiła?

— To, czegoby wymagał odemnie mój honor — odparła dziewczynka z niezwykłym zapałem. Miała ona wówczas zaledwie lat ośm.



Indye przedgangesowe. — «Pałac światła» w Lukow, stolicy prowincji Uda; podług fotografii.

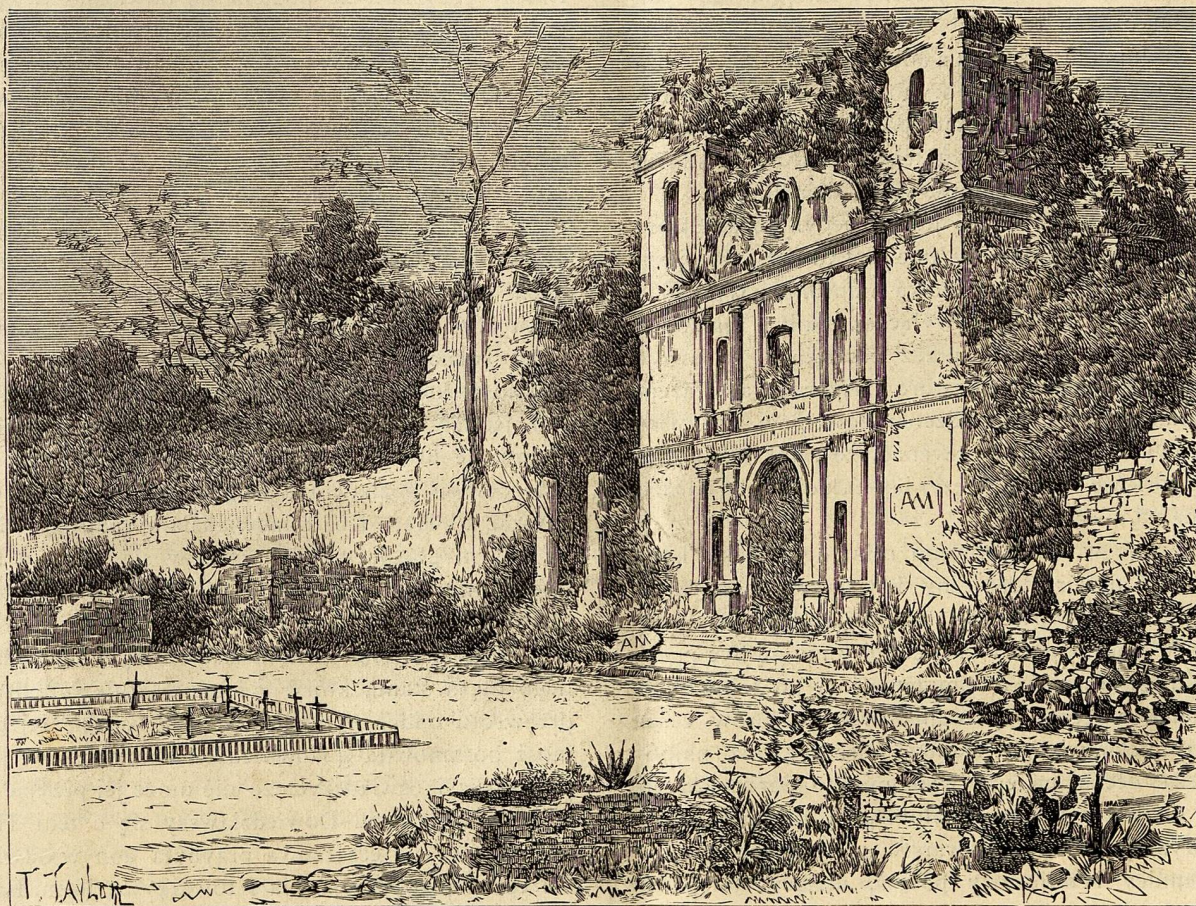
Pojęcie tych kobiet o osobistej godności różniło się tak dalece od naszych w tej mierze wyobrażeń, że Europejczycy wytłumaczyli je sobie niezupełnie prawdziwie, a nawet z wielkim uszczerbkiem dla dobrej sławy Japoniek. Będąc wychowywane w przeciągu całych stuleci w tem przekonaniu, że honor rodziny polega na absolutnej wierności dla swojego zwierzchnika, poświęcały one niekiedy wszystko, nawet godność własną w obronie swego monarchy, lekcewały niebezpieczeństwa, wyrzekały się najdroższych skarbów, spełniały najokropniejsze zbrodnie w celu poparcia tej sprawy, jaką za dobrą uważały, albo też zgadzały się na to, co podług chrześcijańskiego punktu widzenia kazałoby wątpić o ich mo-

ralności. W dziejach Japonii nie brakło Judyt, Japończycy zaś, również jak i Izraelici, potrafili ocenić te bohaterki.

W każdym razie rewolucja zmieniła znacznie położenie Samurajów i zmodyfikowała ich poglądy. Pozbawieni dochodów otrzymywanych z łaski Daimiosów, którzy sownie wynagradzali ich usługi, biedni Samurajowie zmieszali się z resztą narodu i zamiast żyć w zamkach w pobliżu swego pana, musieli chwycić się rozmaitych rzemiosł, popularyzując atoli w nowożytniej Japonii dawne zapatrywania i uczucia. Cóż teraz robią ich żony?

Jeżeli system rządowy pozostaje w ręku mężczyzn pod kierunkiem samego cesarza, to cały postęp w położeniu kobiet jest dziełem żon Samurajów, popieranych gorąco przez cesarzową. One to nietylko przesiąkają same nowymi, nieznanymi dotąd ideami, ale nawet gorliwie je rozpowszechniają. Skutkiem politycznego i społecznego przewrotu, niektóre z nich wraz ze swymi mężami dostały się do rzędu szlachty i magnatów, oraz przyniosły arystokracji pewną żywotność, samodzielność i energię, której ta ostatnia bardzo potrzebowała. Inne

przeciwnie, padły ofiarą rewolucji i znalazły się nagle na bruku. Ponieważ zaś przedewszystkiem potrzeba żyć, Samurajowie przeto musieli zabrać się do rzemiosł, lub poświęcić się innym zawodom, jakimi niegdyś pogardzali. Wszędzie jednak przynieśli oni ze sobą swe tradycje, ideały, inteligencję, rodzinną dumę i zasady honoru, zamiast zaś zniżyć się do poziomu nowego swego otoczenia, siłą przykładu podnieśli je ku sobie. Należy też przyznać, że żony ich zniosły dotkliwie klęski z godną uwielbienia rezygnacją i natychmiast za-



Brazylia. — Ruiny kościoła w missyi San-Ignacio; podług rysunku missyonarza.

brały się do pracy, zajmując zaszczytne miejsce profesorów, tłumaczy i t. p., lub pielęgnując chorych. One to kierują obecnie wszystkimi szpitalami, jak również pensyonatami i szkołami przemysłowemi dla dziewcząt. Córki ich otrzymują jak najlepsze wychowanie i odznaczają się uległością względem swych przełożonych, niezłomną gorliwością w pracy, a zwłaszcza wzniosłym poczuciem osobistej godności. Wpływ żon Samurajów wszędzie się daje uczuwać, one bowiem pierwsze zrozumiały potrzebę reformy i z niezłomną energią szukają środków zaradzenia złemu tak, iż rzecz można, że przyszłość kobiety japońskiej w ich spoczywa ręku.

Aby się wywiązać należycie z nowego swego po-

śłannictwa, potrzebują one tylko naśladować piękne przykłady swych babek i prababek. Od najdawniejszych czasów kobiety z wyższych warstw społeczeństwa, wywierały zawsze w Japonii wpływ doniosły i zbawienny. Na dworze cesarskim, którego główną były ozdobą, nie poprzestawały na braniu udziału w zabawach, łowach, turniejach lub tańcach, zaczerpniętych z Chin i Korei, a stanowiących monopol niektórych szlacheckich rodzin, ale słynęły również z bystrego umysłu, talentu muzycznego, głębokiej znajomości literatury i płodnej wyobraźni tak, że nawet największe utwory klasycznego japońskiego piśmiennictwa powstały po większej części za radą i inicjatywą kobiet.

One to również starały się utrzymać harmonię pomiędzy sztuką a przyrodą, którą Japończycy poczytują słusznie za *sine qua non* prawdziwego aryzmu, wysoce zaś rozwinięty smak estetyczny pozwalał im uchwycić i odtworzyć za kilkakrotnem pociągnięciem pędzelka nietylko kształt, ale nawet ruch lecącego owadu, lub listka poruszanego wiatrem. Nietylko pod względem toalety, ale także we wszystkim, co się tyczyło przyozdobienia pałaców cesarskich, głos ich był zawsze rozstrzygającym, tak, że nawet cukiernicy, pragnąc, aby ich wyroby artystyczną nosiły cechę, zasięgali rady pań z arystokratycznych rodzin.

Jeżeli Japonia przyswajając sobie cywilizację chińską, nie straciła całej swej oryginalności, język zaś narodowy utrzymał się aż dotąd pomimo obcych wpływów i coraz bardziej się kształci, to przedewszystkiem zasługa kobiet i ich niezmordowanej działalności.

Jak dawniej, tak i dziś jeszcze jedynym środkiem zdobycia względów u dworu, nie jest uroczą powierzchowność, ale wyższość umysłowa i moralna. Wszystkie prawie domy dworskie, nie wyłączając kilku małżonek samurajów, odznaczonych przez cesarżową za swoje zasługi, znają wybornie literaturę klasyczną, a zarazem słyną z umiejętności, prowadzenia dowcipnej i ożywionej rozmowy. Należy też przyznać, że sami mikadowie popierają gorliwie rozwój poezji japońskiej, która bardzo jest piękną.

Corocznie w dzień nowego roku ogłasza się konkurs na jakiś utwór poetyczny i wszyscy Japończycy bez wyjątku mają wówczas prawo współubiegania się o laury. W dniu oznaczonym rękopisy muszą być przysłane na dwór cesarski, a kompletne jury po dokładnem ich ocenieniu wręcza pięć najlepszych utworów cesarżowi, co daleko większy stanowi zaszczyt, niż najpochlebniejsza ocena jakiego znakomitego europejskiego krytyka. O zaszczyt ten współubiegają się nieraz kobiety z wyższych i średnich warstw społecznych. Często też zwolennicy i miłośnicy poezji, mający wstęp na dwór cesarski, schodzą się do pałacu i ku wielkiemu zadowoleniu ich cesarskich mości, urządzają tak zwane poetyckie turnieje.

W pensjonacie założonym przez cesarżową dla córek japońskich parów, główny nacisk kładzie się na naukę literackiego języka ¹⁾, piśmiennictwa i stylu. Na kierowniczkę tego zakładu wybrano jedną z najszlachetniejszych, najcnotliwszych i najwykształceńszych kobiet w całym cesarstwie.

Cesarżowa Haru-Ko, pochodząca ze szlacheckiej rodziny Iszjo ¹⁾, poślubiła swego małżonka w r. 1868, t. j. wkrótce po objęciu przezeń tronu i zniesieniu sajgunatu. Młoda monarchini, wychowana na cichym i poważnym dworze w Kioto, została nagle powołaną do odgrywania roli, do której wychowanie nie przygotowało jej wcale do spełnienia nieznanych dotąd obowiązków. Zamiast pozostać w cichym ustroniu, nie widząc nikogo i nie będąc widziana, musiała wystąpić na widownię i zetknąć się z nowym dla siebie światem. Należy przyznać, że podjęła się odważnie swego zadania i spełnia je z wytrwałością, świadczącą o szlachetnem sercu, oraz wyższym prawdziwie umyśle.

Od r. 1871, w którym wysłała pięć młodych dziewcząt do Ameryki, w celu poznania cywilizacji tak odrębnej od japońskiej, cesarżowa aż do dnia dzisiejszego walczy niezmordowanie w obronie praw kobiety.

Popularność jej jest tak wielka, że Japończycy opowiadają sobie mnóstwo ciekawych i charakterystycznych epizodów z życia swej monarchini. Gdy przed kilku laty spalił się pałac w Tokio, para cesarska musiała szukać dla siebie schronienia w domu pewnego daimiosa, który chociaż książęcą był rezydencją, w bardzo jednak smutnym znajdował się stanie. Niektórzy dworzanie ubolewali wówczas, że cesarżowa została na czas pewien pozbawiona wygod, do których przywykła. Słyszając to Haru-Ko, odpowiedziała ładnym wierszem, w którym głosiła, że nie troszczy się wcale o ubóstwo swego mieszkania, jeżeli tylko w sercu narodu znalazła dla siebie miejsce.

Innym razem dowiedziawszy się o chorobie pewnego męża stanu, który podczas ostatniego politycznego przewrotu oddał wielkie cesarżowi usługi, Jej cesarska mość postanowiła go odwiedzić, chory jednak kazał ją przeprosić i oświadczyć, że nie może jej przyjąć podług wymagań etykiety. Dowiedziawszy się o tem Haru-Ko odparła, że nie cesarżowa przybyła doń w odwiedziny, ale córka jego przyjaciela i towarzysza broni Iszja, poczem wbrew wszelkim przepisom etykiety, weszła do pokoju chorego i zasiadła przy jego łożu, aby go jak najtroskliwszą otoczyła opieką.

Wiadomo powszechnie, że mnóstwo szkół i zakładów dobroczynnych ma w cesarżowej nie nominalną, ale rzeczywistą protektorkę, gdyż zacna ta monarchini oszczędza o ile możności swoje dochody, aby móc wspierać szpitale, szkoły, laboratoria i inne instytucje, które sama bardzo często odwiedza. Wówczas nawet, gdy jej kasa zupełnie się wypróżni, Haru-Ko znajdzie

¹⁾ Współczesny język japoński dzieli się na trzy odrębne gałęzie, to jest na język popularny, używany w potocznej rozmowie, literacki, którym się piszą dzieła naukowe i klasyczne, i listowy. Pomiedzy temi trzema językami tak wielka istnieje różnica, że Europejczyk mówiący biegle pierwszym z nich, nie może często zrozumieć ani jednego wiersza w poważnej jakiejś książce, ani nawet listu.

¹⁾ Na cesarżowe wybierają się zwykle córki pięciu szlacheckich rodzin zwanych Kuge i posiadających wyłącznie ten przywilej. Dawniej córki cesarskie nie wychodziły nigdy za mąż, gdyż je poczytywano za istoty daleko wyższe od reszty ludzi. Zwykle więc zostawały one kapłankami w sintoickich świątyniach, albo zakonnicami buddyjskimi.

jeszcze jakieś pieniądze na kupno zabawek, które rozdaje sama pomiędzy ubogąariatwę z przytuliska.

Jeżeli sobie przypomnimy, że przed dwudziestu jeszcze laty tylko najwyższa arystokracja miała prawo zbliżyć się do pary cesarskiej, nie śmiejąc jednak podnieść na nią oczu, to zrozumiemy, jak wielki postęp zrobiła cesarzowa, do której dzisiaj przychodzą śmiało najuboższe nawet dzieci, aby z rąk jej otrzymać zabawkę lub łakocie. Dotychczas jeszcze mieszkańcy odległych prowincyj, do których nowsze idee z trudnością się przedzierają, wierzą święcie, że każdy kto spojrzy w twarz cesarza, natychmiast padnie trupem, bogowie bowiem nie omieszkają go ukarać za takie zuchwalstwo.

Najbardziej jednak na sercu Haru-Ko leży pensjonat, założony przez nią dla dziewcząt z arystokratycznych rodzin, które mają kiedyś na dworze rozmaite piastować godności. Podczas ceremonii otwarcia tego zakładu, cesarzowa wygłosiła bardzo piękną przemowę do uczennic i od tej chwili nader często je odwiedza. W dni największych uroczystości, dziewczęta stojąc z głową schyloną jakby do modlitwy, śpiewają pieśni, ułożone dla nich przez cesarzową, egzaminom zaś przysłuchuje się Haru-Ko z jak największym zajęciem, każąc sobie zarazem przysyłać najlepsze rysunki i zadania stylowe, które zachowuje jako pamiątkę w jednym z prywatnych swych apartamentów. Nieraz zwiedza klasy, zasiada na czas niejaki, słucha wykładów, zadaje pytania i bystrym wzrokiem bada fizyognomie odpowiadających uczennic. Niekiedy nawet bywa na lekcjach szycia i gotowania, udzielanych również młodym arystokratkom.

Pewnego dnia podczas jednej z takich wizyt cesarzowa zauważyła niezręczność małej jakiejsz księżniczki, którą naparstek i długa igła w wielki wprawiały kłopot. »To po raz pierwszy, księżniczko, nieprawdaż? — zapytała z uśmiechem Haru-Ko«. Dziecię wyznało otwarcie, iż rzeczywiście nigdy mu w domu nie dawano do ręki podobnych narzędzi.

Miss Alicya Mabel Bacon w następujący sposób opisuje jedną z takich wizyt Jej cesarskiej mości:

»Wchodząc na wschody, ujrzałam najprzód przepyszne przedmioty ze srebra i laki, które niesiono do apartamentu przeznaczonego dla Jej cesarskiej mości. Na dziedzińcu gromada kulisów w niebieskich szlafrokach odpoczywała po trudach, tu i owdzie snuli się mężczyźni, głośno wydając rozkazy, panie tylko daleko większy zachowywały spokój. Co do mnie, to nie wiele miałam do czynienia, bo uczennice moje na razie były zajęte przyrządzaniem obiadu dla swej monarchini. Ponieważ po raz pierwszy dopiero miałam być świadkiem podobnej ceremonii, a nawet czynny wziąć w niej udział, bałam się więc okropnie, czy zdołam należycie wywiązać się z zadania.

»Wreszcie na dziedzińcu wjechał konno jakiś dygnitarz, za nim zaś wtoczyły się powoli cztery powozy,

wiozące damy dworskie, które się ustawiły we dwa szeregi w obszernym szkolnym korytarzu. Potem jakiś żołnierz przywiózł niewielką chorągiewkę, na której był wyhaftowany kwiat chryzantemy, stanowiący godło cesarskie. Kolejno nadjeżdżali też coraz to inni jeźdźcy z ogromnemi pękami białych i czerwonych piór w rękę, a wreszcie ukazał się czerwony powóz, ozdobiony złotonemi rzeźbami, w którym się znajdowała cesarzowa. Gdy jeden z dygnitarzy rozpostarł na progu matę, cesarzowa wysiadła z powozu i przeszła pomiędzy dwoma szeregami dam dworskich, schylonych aż do ziemi. Wówczas udałam się do klasy, gdzie obok mojej katedry umieszczono przepyszny fotel z czarnej laki, ozdobiony poduszką z czerwonego aksamitu i mnóstwem malowanych chryzantemów. — Niebawem usłyszeliśmy szelest sukien jedwabnych, drzwi się otwały, pani Szimoda, dyrektorka zakładu rzuciła okiem do wnętrza pokoju, myśmy zaś wszystkie powstały z miejsca i pochyliły głowy. W tejsamej chwili weszła cesarzowa, którą musiałyśmy powitać tak niskim ukłonem, iż zdawało mi się, że się uduszę. Po chwili cesarzowa usiadła, uczennice na dawne wróciły miejsca i lekcja się rozpoczęła.

»Z początku widząc nerwowe wzruszenie mych dziewcząt, byłam przekonana, że odpowiedzi ich nie zrobią mi wcale zaszczytu. Nie dobrze znałam jeszcze wówczas młodych Japonek. W chwili stanowczej wszystkie te dziewczątka odzyskały zupełnie zimną krew i spokój, tak, że nigdy jeszcze lekcja nie powiodła się również dobrze, jak w obecności cesarzowej. Przez całe pół godziny Haru-Ko przysłuchiwała się jej uważnie, chociaż, jak się później dowiedziałem, nie umie ani słowa po angielsku. Jestto niska i szczupła kobieta, dla której szara jedwabna suknia i duży paryski kapelusz zbyt wielkim zdawały się być ciężarem. Twarz jej wydała mi się smutną, w dużych zaś i pięknych oczach malowała się cicha, rzewna rezygnacja.

»Po niejakiem czasie cesarzowa wyszła z klasy, ale nie na tem jeszcze miał być koniec, wkrótce bowiem wyraziła życzenie, aby jej przedstawiono kolejno wszystkie nauczycielki. Oto w jaki sposób odbyła się ta ceremonia, gdy na mnie wypadła kolej:

»Najprzód na progu musiałam złożyć głęboki ukłon, poczem podążyłam wprost przed siebie aż do cesarzowej, siedzącej w głębi pokoju i znowu niskim powitałam ją ukłonem. Wówczas pewien szambelan podał mi duży półmisek z laki, na którym leżała ogromna paczka obwinięta w biały papier. Wzięłam więc tę paczkę i podniósłszy wysoko ponad głowę, cofałam się powoli aż do progu, gdzie znowu nastąpił ukłon. Paczka ta zawierała kilka sztuk białej jedwabnej tkaniny, mających po 25 metrów długości. Niegdyś, zwłaszcza w głębi kraju, podobny podarunek byłby uważany za świętość i największym otoczony szacunkiem. Kiedym go pokazała swemu służącemu, ten zdjął czapkę i z religijną

częcią zaczął mu się przyglądać. Przed kilku jeszcze laty suknia uszyta z tkaniny otrzymanej od cesarzowej, miałyby w oczach krajowców cudowne czarodziejskie własności. Dziś już tak nie jest, bo *tempora mutantur*».

Niekiedy znalazłszy wśród licznych zajęć chwilkę wolnego czasu, cesarzowa zaprasza do siebie córeczki szambelanów lub innych dygnitarzy i rozmawia z temi małemi istotkami, nie krępującemi się jeszcze wcale przepisami dworskiej etykiety. Każda taka rozmowa kończy się jakimś pięknym podarunkiem, który dla całej rodziny obdarzonego nim dziewczęcia cenną się staje pamiątką. W każdym razie biedna monarchini słucha ze smutkiem dźwięcznych dziecięcych głosów, sama bowiem nigdy nie była matką, tak, że następcą obecnego cesarza będzie jego synowiec.

Pałac cesarski zbudowany jest w stylu japońskim, ale ogrzany, oświetlony i umeblowany w sposób europejski. Kilka tylko prywatnych apartamentów odznacza się prostotą i prawdziwie japońskim urządzeniem. Widać więc, że władcy rozległej tej krainy wolą narodowe maty i wężgłowia

od europejskich krzeseł i kobierców; wtedy dopiero czują się szczęśliwymi, gdy się znajdują w cichym swym schronieniu, zdala od miejskiego gwaru i dworskiej etykiety.

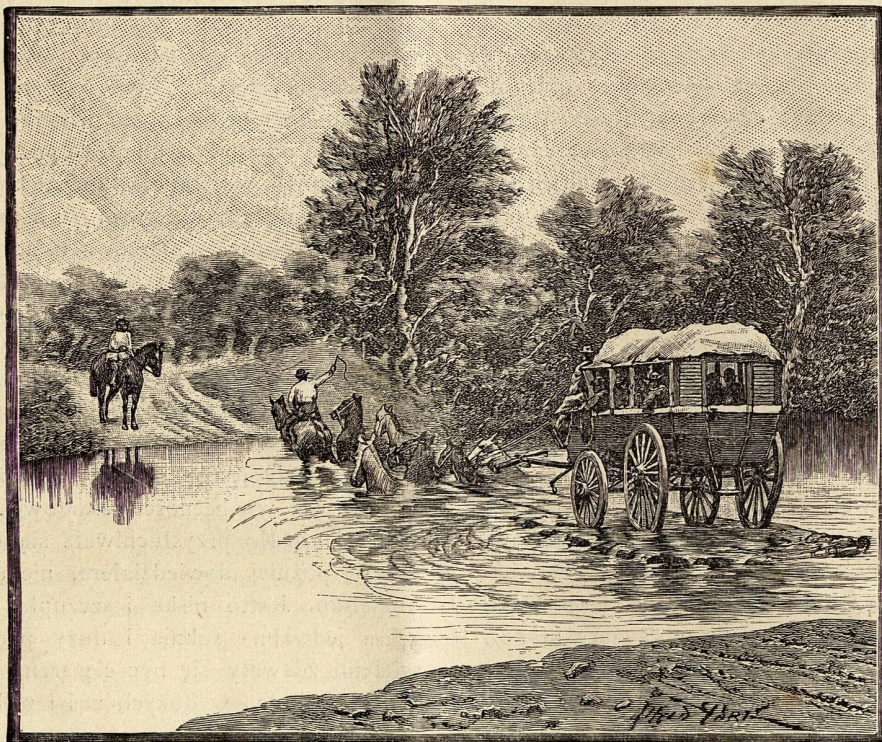
Co do trybu ich życia, to nie różni się on wcale od egzystencji europejskich monarchów. Od czasu do czasu na ulicach Tokio ukazuje się znany powóz czerwony, przed którym kilku jeźdźców wiezie cesarskie chorągwie, policja zaś usuwa ciekawych. Nadto dziennik urzędowy ogłasza publiczności, jak ich cesarskie moście spędzić dzień raczyły.

Jedną z najulubieńszych rozrywek jest jazda konna, odbywająca się zwykle w rozległym i malowniczym parku cesarskim. Nadto na wiosnę i w jesieni bramy pałacu Aka-saka otwierają się dla zaproszonych na uroczystość wiśni i chryzantemy, pomiędzy zaś przesłicznymi

kwiatami przesuwają się lekko eteryczna sylwetka Haru-Ko o smutnej lecz łagodnej twarzy. Za nią kroczy zwykle cały szereg dam dworskich, mieszkających w apartamentach dość odległych od pałacu, ale połączonych z nim długą i wąską aleją, która przerzyna ogród w całej jego długości.

Każda z tych pań ma własny dom i własnych służących, całe zaś jej życie upływa wśród przepychu i zapełnione jest wyłącznie wykonywaniem przepisów etykiety, które od dzieciństwa tak starannie jej wpajano. Aby się przygotować do spełniania przyszłych swych obowiązków, dziewczęta, mające później należeć do

orszaku cesarzowej, wychowują się od 10 lub 12 roku życia w domu jakiejś dworskiej damy, która w nich zaszczepia konserwatywne poglądy i szacunek dawnych tradycji. Pomimo gorliwych usiłowań cesarzowej w celu zastosowania wyobrażeń tego kółka do współczesnych prądów, stanowi ono dotąd jeszcze jakby odrębny światek, nie mający nic wspólnego z tem, co go otacza. Wszystkie domy dworskie zdają się jeszcze należeć do epoki



Brazylia. — Przejazd dylizansem przez rzekę Aguapey; podług rysunku misjonarza.

rozpoczętej przez cesarzową Dzingu-Kôgô, gdy tymczasem cesarzowa Haru-Ko nową otwiera erę i powinna żyć długo w pamięci japońskich kobiet. Jeżeli majestatyczna, legendowa Dzingu-Kôgô stała niegdyś dumnie na granicy, dzielącej cywilizację od barbarzyństwa, to dzisiaj Haru-Ko mężnie przekracza granicę, jaka odosabniała dotąd azyatycki Wschód od europejskiego Zachodu. — W Japonii, jak i wszędzie zresztą, najnowsza reforma zniweczyła wiele rzeczy prawdziwie dobrych i pożytecznych, czy więc wyniki jej nie dostarczą obrońcom starego systemu przekonywających argumentów, to zagadka, którą przyszłość rozstrzygnie. Prawdopodobnie w rozległym tym kraju nastąpić musi niebawem epoka przejściowa.

KONIEC.

Missya Dominikańska w Brazylii.

(Ciąg dalszy).

IV.

Podróż do Gojazu. — Charakterystyka tej prowincyi i jej stolica. — Kościół pod wezwaniem Najświętszej Panny. — Wyniki gorliwości misyonarzy i zakonnic. — Śmierć młodej misyonarki.

Stacya kolei żelaznej w Uberabie, jak to już wyżej powiedziałem, jest obecnie krańcowym punktem linii

kolejowej. Wprawdzie rząd brazylijski stara się ją przedłużyć aż do Gojazu, ale przedsięwzięcie to, nader liczne napotyka trudności i wiele jeszcze lat upłynie wprzód, niż w górach Serra Dorada rozlegnie się gwizd lokomotywy. W danej chwili jedynym środkiem komunikacyjnym na przestrzeni 700 kilometrów, dzielących Uberabę od Gojazu, jest podróż konna, która trwa zwykle od dwóch do trzech tygodni.

Po za rzeką Paranahybą, to jest na samem pograniczu prowincyi gojaskiej, krajobraz znacznie się zmienia. Grunt stopniowo staje się kamienisty, pokryty



Brazylia. — Plantacye kawy w miejscowości zwanej Sta Theresia; podług fotografii przysłanej przez hr. Witolda Skórzewskiego, radcy legacyjnego Prus w Brazylii.

tu i owdzie warstwami białawej gliny, pastwiska zaś, dość liczne w okolicach Uberaby, tu coraz rzadziej się napotykają. Z tego więc powodu od pierwszej chwili przybycia na terytoryum prowincyi Gojaz, podróżnik doznaje wrażenia, iż daleko skąpiej od innych swych sąsiadek została ona uposażona przez przyrodę. Dziś jednak na widnokręgu jej przyszłości nowa jutrenka zdaje się świtać, gdyż na mocy dekretu wydanego w ostatnich czasach przez rząd brazylijski, w prowincyi tej, jako środkowym punkcie rzeczypospolitej, ma się wznosić stolica południowych federalnych stanów.

Jakieś to wyżej zaznaczyli, przestrzeń dzieląca Uberabę od Gojazu, nie jest wprawdzie zbyt rozległa, ale trudna do przebycia. Po przeprawieniu się przez rzekę Uruhu, podróżnik napotyka na swej drodze wspa-

niały łańcuch górski, znany pod nazwą Serra Dorada, czyli gór złocistych. Gdy zaś wdrapawszy się nie bez trudności na jego stoki, najeżone skałami, staniemy na szczycie, wówczas przewodnik wskaże nam w oddali w kierunku zachodnim pasmo wyniosłych wzgórz, stanowiących jakby odnogę gór Serra Dorada. Tam właśnie leży Gojaz.

Tradycja głosi, że w drugiej połowie XVII wieku pewien awanturnik, nazwiskiem Bartłomiej Bueno z 15-letnim synem, oraz kilkoma innymi poszukiwaczami złota, wyjechał z San Paolo i zapuścił się w głąb nieznanej jeszcze wówczas krainy, ciągnącej się na prawym brzegu rzeki Paranahyby. Po długiej wędrówce awanturnicy ci napotkali przypadkowo w jednej miejscowości jakieś indyjskie plemię, odznaczające się nie-

zwykłą łagodnością obyczajów. Krajowcy ci nosili nazwę Gojaces, która w ich języku oznaczała kwiat polny i nosili naszyjniki ze sporych ziarn złota. Widok tego drogiego kruszcu obudził chciwość nowych przybyszów i Bueno zapytał natychmiast dzikich, gdzie znaleźli te błyszczące ziarnka. Atoli krajowcy bojąc się jakiegoś podstępu, nie chcieli im wyjawiać swojej tajemnicy. Wówczas Bueno kazał swym ludziom nalać na półmisek spirytusu, wyrabianego z trzciny cukrowej, zapalił go i przysiągł, że w takiż sam sposób spali wodę we wszystkich rzekach i studniach, jeżeli Indianie nie wskażą mu miejsca, w którym znaleźli złoto. Niestety dla dzikich przestraszyli się okropnie i złożyłwszy wszystkie złote naszyjniki u nóg Buena, zaprowadzili go tam, z kąd czerpali ten kruszec. Wkrótce potem Bueno, przewany przez krajowców *Anangherem*, czyli starym czarownikiem, zamienił tych nieszczęśliwych w swoich niewolników i kazał im kopać dla siebie złoto. Skoro zaś zdobył znaczną jego ilość, wówczas objuczył niem biednych Indian i wraz z nimi, tudzież z towarzyszami swej wyprawy wrócił do San Paolo, gdzie spędził spokojnie resztę życia.

Później nieco za inicjatywą gubernatora z San Paolo syn Ananghera, młody Bartłomiej Bueno postanowił odszukać miejsce, które się stało źródłem bogactw jego ojca. Przedsięwzięcie to jednak nie rychło miało się uwieńczyć powodzeniem. Po paru latach bezowocnej włóczęgi wpośród gór i lasów, Bueno, opuszczony przez swych towarzyszy, musiał z próżnymi rękami wrócić do San Paolo. Za drugim atoli razem powiodło mu się lepiej, gdyż dzięki wskazówkom dwóch starych Indian, którzy znali jeszcze Ananghera, odnalazł dawne obozowisko swego ojca. Miejsce to dzisiaj zowie się Ferreiza. Po krótkim pobycie w tej miejscowości, Bueno przeniósł się o milę dalej nad brzeg niewielkiej rzeki, którą nazywał *Wermehlo* (Czerwona) i zbudowawszy tam kaplicę pod wezwaniem św. Anny, oddał się z gorączkowym zapalem poszukiwaniu złota. Niestety po upływie lat kilku plemię Gojaces wymarło lub rozproszyło się w rozmaite strony, potomek zaś starego Ananghera po wielu nieszczęściach i cierpieniach zakończył życie w najokropniejszej nędzy. Miejsce, na którym rozbił swój namiot, zważyło później innych awanturników, a wreszcie stało się środkowym punktem nowej prowincji, której stolica przez długie lata, zapewne na pamiątkę swego założyciela, zwała się Villa Buena. W późniejszych czasach zapomniano o tej nazwie, miastu zaś nadano miano Gojaz, przypominające biedne indyjskie plemię *polnych kwiatów*.

W chwili obecnej Gojaz nie jest wcale większy od Uberaby, liczba zaś jego mieszkańców dochodzi zaledwie do 10.000 osób. Oddawna zaniechano tam eksploatacji złota. Grunt miasta, na którym się wznosi, jest skalisty, przzerwany tu i owdzie warstwami żółtego piasku i nie

nadający się wcale do uprawy. Dokoła otacza je pasmo gór, zacieśniając powietrze tak dalece, że temperatura w tej miejscinie jest prawie zawsze duszna i trudna do zniesienia. Pomimo jednak wszystkich stron ujemnych, Gojaz jest najważniejszym miastem w całej prowincji, tam bowiem mieszka gubernator, zbierają się tak zwane rady prowincjonalne, oraz mieści się siedlisko władz administracyjnych, cywilnych i wojskowych. Wreszcie od chwili, w której skromną kapliczkę wzniesioną niegdyś przez Buena, zamieniono na piękny kościół katedralny, Gojaz stał się również rezydencją katolickiego biskupa. Łatwo więc można się domyśleć, że pragnąc założyć drugi klasztor dla dominikańskich misyjników X. biskup Gonzalvez wybrał na ten cel stolicę swojej diecezji.

Wjeżdżając do Gojazu drogą wiodącą z Uberaby, spostrzega się najprzód długą, bardzo starannie wybrukowaną ulicę, która przerywa miasto w całej jego szerokości i wychodzi na niewielki plac. W głębi tego placu wznosi się kościół pod wezwaniem Najśw. Panny Różańcowej, o dziewięć zaś metrów dalej stary i na wpół zniszczony dom, służący od lat kilku za schronienie dla misyjników. Świątynię powyższą zbudowali niegdyś murzyni, których Portugalczycy kupowali w Afryce i przywozili do Brazylii, aby następnie zmuszać ich do pracy w kopalniach, lub na plantacjach kawy. Żądza złota czyniła białych bardzo okrutnymi i wymagającymi względem nieszczęśliwych niewolników, zmuszonych pracować niemal bez wytchnienia. Pomimo tego, biedni ci ludzie znaleźli jeszcze czas na budowę świątyni i po całodziennych trudach, każdego wieczora pracowali dobrowolnie parę godzin przy budowie Domu Bożego. W taki sposób stanął w Gojazi piękny kościół ku czci Najśw. Panny Różańcowej, ukochanej patronki murzynów, a zarazem i dominikańskich misyjników, którym świątynia ta w ostatnim lat dziesiątku powierzona została.

Nie powinienem też pominąć milczeniem, że na chórze tej świątyni spoczywają zwłoki jednego z pierwszych apostolskich pracowników, O. Artigue, bardzo zacnego i wykształconego kapłana, który obrawszy zawód misyjnicki, w kilka miesięcy po przybyciu do Brazylii utonął podczas przeprawy przez rzekę Araguaę.

Co do rezydencji misyjnej, to dom ofiarowany misyjnikom przez X. biskupa Gonzalvez'a natychmiast po przybyciu ich do Gojazu, przedstawiał nader korzystne warunki, gdyż z powodu niewielkiej odległości od kościoła, zakonnicy mogli się udawać do chóru lub zakrystyi, nie wychodząc po za obręb murów klasztornych. Niestety był on tak niski, że misyjnicy mogli dosięgnąć ręką sufitu w swoich celach. Później X. biskup Gonzalvez kupił dwa sąsiednie domy i kazał je zburzyć, aby na ich miejscu zbudować klasztor, w którymby kapłani wygodniej mogli się pomieścić.

Był to zamiar nie łatwy do urzeczywistnienia, ponieważ chciano zbudować piętrowy dom murowany, nagromadzenie zaś niezbędnego materiału olbrzymie przedstawiało trudności. Gdy wreszcie zdołano temu zaradzić, wówczas dał się uczuć brak biegłych i umiejętności robotników. Nakoniec dzięki niewyczerpanej cierpliwości, a zwłaszcza sporej kwocie pieniężnej, przedsięwzięcie doszło do skutku, tak, że dziś misyjonarze mieszkają już w porządnym i wygodnym domu.

Oprócz siedmiu cel, mają oni na parterze dwie piękne sale, przeznaczone na kapitułę i refektarz, całe zaś mieszkanie, chociaż niezbyt obszerne, wystarcza najzupełniej dla zakonników, przebywających tam obecnie. Misyjonarze z Gojazu, ściśnieni ze wszech stron ulicami lub posiadłościami sąsiadów, w mniej korzystnych znajdują się warunkach, niż ich współbracia z Uberaby, którzy oprócz klasztoru mają jeszcze spory kawał gruntu. Atoli i przy klasztorze w Gojazie istnieje już winnica i winogrona rozwijają się w niej wybornie, przerzucając z drzewa na drzewo zielone swoje festony. Zastępuje na uwagę, że europejskie gatunki winnej latorośli, przesadzone na grunt brazylijski, nie nadają się wcale do wyrobu wina, gdyż z powodu wilgoci w powietrzu, owoce ich zwykle gniją lub stają się pastwą *filoxery*. Jedynie dobre wino otrzymuje się tutaj z latorośli, przywiezionych ze Stanów Zjednoczonych, gdzie europejskie winogrona zupełnej uległszy zmianie, całkiem nowy wytworzyły już gatunek.

Obok winnicy zieleni się ogródek, w którym oprócz europejskich rosną też i brazylijskie drzewa owocowe. Z pomiędzy tych ostatnich zasługują na wzmiankę tak zwane *abocato*, których owoce mają smak pieczonych ziemniaków, *caju* o żółtawych owocach w kształcie gruszki, z których wytłaczają sok do wyrobu orzeźwiającego napoju, drzewo mangowe, jak również rozłożyste krzewy *abacaxi*, czyli południowo-amerykańskich ananasów. Niektóre z tych drzew owocowych rosną także w stanie dzikim w lasach lub na stokach gór, pomiędzy zaś owocami leśnymi wymienić jeszcze możemy liany *marcuja* i *grenadilla*, dynię *mamao*, rosnącą na drzewach jako pasożyt, *cheremoyę* czyli *pinerę*, *jabaticabę*, a wreszcie dzikie owocowe drzewo *jaca* i *fruto de conde* (owoc hrabiowski), tudzież niezliczone gatunki leszczyny i palm kokosowych. Nigdzie więc może ogrodnictwo nie przedstawia tak korzystnych warunków, jak w Brazylii i dlatego też misyjonarze pragną już od dawna rozwinąć je na najszerszą skalę, ale niestety w Gojazie nie mają odpowiedniego kawałka gruntu, chociaż nie wielki ich ogródek zawiera wszystkie niemal okazy drzew owocowych, mogących w podrównikowym wzrastać klimacie.

W chwili obecnej znajduje się w tej misyji 7 zakonników, 5 Ojców i 2 Braci, którzy wiodą tak iż sam tryb życia, jak uberabscy misyjonarze. Co do misyji

urządzanych w rozmaitych parafiach, to nie różnią się one wcale od tych, jakieśmy opisali, mówiąc o Uberabie. Dlatego też zamiast wchodzić w szczegóły, zaznaczyć tylko musimy, że z powodu mniej gęstego zaludnienia napływ wiernych daleko jest mniejszy, wyniki zaś prac apostołskich również skromniej się przedstawiają. Natomiast spełnianie obowiązków kapłańskich w samym Gojazie daleko większe ma znaczenie, niżeli w Uberabie, tak, że misyjonarze, którzy z początku uskarżali się na brak pracy, dzisiaj nie mogąc jej wydołać, proszą już o powiększenie swego personalu. Główne ich zatrudnienie stanowią kazania i spowiedzi w kościele klasztornym, codzienne wykłady w seminarjum, lekcje katechizmu w rozmaitych szkołach, odwiedzenie chorych w mieście i jego okolicach, a wreszcie obsługa kilku sąsiednich parafii, pozbawionych kapłanów, i które X. biskup powierzył również prowizorycznej pieczy misyjonarzy.

Po przybyciu do Gojazu, znaleźli tam Ojcowie nieliczne gronko dusz pobożnych, przystępujących często do świętych Sakramentów, dzięki zaś ich wpływowi gronko to obecnie codziennie niemal wzrasta. W sobotę wieczorem, jak również w wigilię każdej uroczystości, konfesyonały bywają zawsze obłożone, w dniu zaś świąteczne ilość osób, przystępujących do Stołu Pańskiego, przynajmniej do stu dochodzi. Musimy też dodać, że podczas uroczystości najbardziej popularnych w tym kraju, ilość rozdawanych Komunii dochodzi do 500, 600, a nawet 800.

W ostatnich wreszcie czasach terazniejszy biskup Gojazu Jego Przewielebność X. Edward Duarte-da Silva pragnąc zorganizować seminarium dyecezaalne, musiał z powodu braku kapłanów świeckich zwrócić się do misyjonarzy i zaprosić ich na profesorów, później zaś zamierzał nawet powierzyć całkowicie kierunek tego zakładu. Niestety, z powodu ogromnego przeciążenia pracą, misyjonarze nie mogli przyjąć propozycji czcigodnego prałata, jednak w miarę możliwości spieszą mu z pomocą, wysyłając codziennie dwóch z pomiędzy siebie dla udzielania lekcji uczniom seminarium.

W pierwszych latach swego pobytu, Ojcowie wykładali również katechizm we wszystkich szkołach miejskich, lekcje zaś te nie mały pożytek przynosiły dzieciom, o których religijne wychowanie rodzice wcale się nie troszczyli. Dziś jednak stosunki znacznie się zmieniły. Dowiedziawszy się, iż we Francji uchwalono laicyzację szkół, Brazylia poszła również za tym przykładem, wydając dekret, na podstawie którego wszystkie zakłady naukowe przez rząd utrzymywane, bezwyznaniowemi być muszą. Odtąd więc misyjonarze wykładają religię tylko w szkołach prywatnych, a nadto w pewnych oznaczonych dniach zbierają dzieci ze szkół rządowych do kościoła Najśw. Panny na lekcje katechizmu.

Wreszcie X. biskup Duarte-da-Silva prosił również

missyjonarzy, aby od czasu do czasu zechcieli nawiedzać sąsiednie parafie, po większej części pozbawione proboszczów. Brak dostatecznej ilości apostolskich pracowników nie pozwala im wprawdzie poświęcać dużo czasu dla dobra biednych parafian, w każdym razie, przynajmniej każdej soboty jeden z Ojców nawiedza kolejno sąsiednie wioski, aby tam nazajutrz rano odprawić Mszę świętą, chrzcić dzieci, błogosławić małżeństwa, lub pełnić inne religijne posługi.

Oto jak się przedstawia zakres prac apostolskich, będących udziałem missyjonarzy w Gojatie. Teraz zaś przenieśmy się na chwilę do zakładu, utrzymywanego w tem mieście przez zakonnice.

W r. 1889 X. biskup Gonzalvez postanowił obdarzyć stolicę swej dyecezyi takim samem dobrodziejstwem, jakie wyświadczył Uberabie, sprowadzając tam pewne gronko zakonnic, które miały objąć kierunek zakładu naukowego dla dziewcząt. Nie łatwe to było zadanie, jeżeli bowiem zakonnice podczas swego nowicyatu wydoskonaliły się w chrześcijańskich cnotach i wykształciły tak starannie, aby móżd kształcić innych, to żadna z nich, niestety, nie miała pojęcia o konnej jeździe, stanowiącej jedyny środek komunikacyjny pomiędzy Uberabą a Gojazem. Trudność ta atoli nie zniechęciła ani czcigodnego Prałata, pragnącego, by dziewczęta z jego dyecezyi prawdziwie chrześcijańskie otrzymywały wychowanie, ani też zakonnic, gotowych w każdej chwili do poświęceń i ofiar. Podróż odbyła się powoli, ale bez żadnego niebezpiecznego wypadku i w pierwszych dniach września 1889 r. młode missyjonarki przybyły do Gojazu, gdzie przyjęto je z takim zapałem i radością, z jaką nigdy żaden dygnitarz cywilny lub wojskowy nie był tam przyjmowany. X. Biskup ustąpił im nawet własnego domu, sam zaś gdzieindziej wynajął sobie mieszkanie. Wprawdzie dom X. Biskupa mógł wybornie pomieścić w swych murach nieliczne grono zakonnic, złożone z ośmiu osób, ale z powodu braku obszernych sal nie nadawał się ani na pensjonat, ani też na szkołę dla dziewcząt. Dzieci napływały tłumnie do nowych swych nauczycielek, które czyniły wszystko, co leżało w ich mocy dla dobra tych maluczkich. Najlepsze pokoje w całym domu, użyte zostały na szkołę, Siostry zaś mieściły się w kilku malutkich izdebkach. Każda ze zakonnic podjęła się pracy, przewyższającej znacznie jej siły i wkrótce to przeciążenie zaczęło wywierać wpływ ujemny na ich zdrowie. Wogóle w klimacie brazylijskim wszelka umysłowa praca, bardziej niż gdziekolwiek indziej nuży i wyczerpuje siły, co tem rychlej musiało nastąpić, że biedne Siostry nie miały nawet czasu zaaklimatyzować się należycie. Musiano więc ograniczyć zakres ich działalności i w tym celu zmniejszono ilość lekcyj, poczem przeniesiono szkołę do innego lokalu, aby Siostry mogły wygodniej pomieścić się w swym domu, słowem nie zaniedbano niczego w celu porato-

wania nadwątłego ich zdrowia. Niestety, było już za późno, gdyż w szczupłym gronie zakonnic nieubłagana śmierć wybrała już dla siebie ofiarę.

Pomiędzy Siostrami osiadłymi w Gojatie znajdowała się pewna młoda missyjonarka, której losy na szczególną zasługują uwagę. Wkrótce po wstąpieniu do nowicyatu w Bor-et-Bar, Siostra Katarzyna zapadła w ciężką chorobę, wobec której sztuka lekarska okazała się bezsilną. Dlatego też nie mogła złożyć ślubów zakonnych. Wówczas odważna nowicyuszka kazała zawieźć siebie do Lourdes, gdzie u Najświętszej Panny nagle wyjednała uzdrowienie. Od tej chwili postanowiła poświęcić Bogu zdrowie i siły w tak cudowny odzyskany sposób, służąc Mu wiernie przez całe życie i pracując dla dobra ubogich lub chorych. W tym właśnie celu przybyła do Brazylii, gdzie miała niebawem pożegnać się ze światem. Od pierwszej niemal chwili przybycia Siostry Katarzyny, gorący klimat brazylijski zaczął wywierać wpływ ujemny, ale pomimo tego gorliwa pracownica pozostała na swym posterunku, ucząc małe murzyńskie sieroty po niewolnikach i prawdziwie macierzyńską otaczając je opieką. Wreszcie ciężka choroba przykuła ją do łóża i po kilku miesiącach powolnego konania młoda zakonnica zakończyła swe krótkie wprawdzie, lecz pełne zasług życie. Cała niemal ludność Gojazu odprowadziła jej zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku.

Nie na tem jednak miały się skończyć troski i cierpienia pocziwych missyjonarek. Ciągłe jeszcze stan ich zdrowia bardzo wiele, niestety, pozostawia do życzenia, brak zaś dostatecznej ilości pracownic coraz dotkliwiej daje się uczuwać. Pomimo tego zacne Siostry nie zbaczają ani na chwilę z wytkniętej dla siebie drogi i oczekując z upragnieniem przybycia nowych pomocnic, nie chcą nawet słyszeć o przerywaniu lekcyj. Do szkoły ich uczęszcza już przeszło sto uczennic, skoro zaś nowa szkoła wybudowana zostanie, wówczas cyfra ta z pewnością się podwoi. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej rozrzucającego, jak przywiązanie gojatzkiej diatwy do pocziwych zakonnic. Zdaje się, że za łaską Bożą młodociane te serduszka zrozumiały jaką wdzięczność, miłość i współczucie winny swym kierowniczkom, wszystkim bowiem dziewczynki uczęszczające do szkoły, starają się nie martwić niczem ukochanych swych Sióstr i o ile możności oszczędzają ich trudy. Zresztą sympatya dla zakonnic objawia się coraz bardziej w łonie całej ludności, wszyscy bowiem bez wyjątku, dorośli i mali, pobożni i bezwyznaniowcy, ludzie prywatni i wybitni urzędnicy głęboki okazują im szacunek.

Religia nas uczy, że krzyże i cierpienia są rękomią błogosławieństwa Bożego. Miejmy więc nadzieję, że dla zakładu Sióstr Dominikanek w Gojatie, Pan Bóg pomyślną przygotował przyszłość, i że dobre ziarno, zasiewane przez zakonnice, kiedyś obfite przyniesie plony.

(Dok. nast.).

Rzut oka na missye „Ojców Białych“.

(Dokończenie).

II.

Na ziemi męczenników. — Cierpienia i tryumfy.

Choć list ten już zanadto może jest długi, nie mogę atoli pominąć milczeniem missyi nad jeziorem Nyanza, jak również pocziwych chrześcijan z Ugandy, którąby słusznie nazwać można krainą męczenników. Zatrzymamy się tam jednak tylko w stacyi missyjnej

Marienberg, leżącej na samym krańcu rozległego terytorium, nadanego Niemcom. Missya ta znajduje się jeszcze w pierwotnem stadyum swego rozwoju. Co do pięknej krainy Ugandy, to już od lat kilku jest ona widownią zaciętej walki, toczonej przez szatana z wyznawcami prawdziwego Boga. W r. 1886, to jest w siedm lat zaledwie po założeniu tej missyi, król Mwanga, posłuszny złośliwym podszeptom szatana, wystąpił po raz pierwszy zbrojnie przeciw naszym neofitom. Czytelnicy pamiętają zapewne, że znaczna ilość chrześcijan poniosła wtedy śmierć wśród najokropniejszych męczarni. Wszystka jednak krew wówczas wylana, stała się dla



Dalmacja. — Miasto i twierdza Lesina na wyspie tegoż nazwiska; podług fotografii. (Zob. str. 302).

tego Kościoła, będącego jeszcze w kolebce, jakby ożywcą rosą, w której nowe zaczerpnąć miał siły.

W parę lat później, zamiast demona poganizmu, wystąpił na widownię fanatyczny islam. Missyonarze nasi byli świadkami sporów, jakie ich wrogowie toczyli ze sobą, naradzając się co do sposobu zgładzenia ich ze świata, a wreszcie zostali ogołoceni ze wszystkiego i wygnani z obrębu Ugandy. Co do chrześcijan, ci ścigani jak dzikie zwierzęta, rozproszyli się na wszystkie strony, przyczem wielu z nich uniknąwszy szczęśliwie śmierci z rąk muzułmanów, udało się na dobrowolne wygnanie do krainy Usagary, leżącej w pobliżu Ugandy. Wraz z chrześcijanami został też wypędzony przez mahometan pogański król Mwanga, który znalazł schronienie u missyonarzy katolickich, osiadłych na południu od jeziora Nyanza. Biedny ten władca, nauczony smutnem doświadczeniem, opłakiwał gorzko poprzednie swe zaślepienie i przechylił się całem sercem na stronę świę-

tej naszej wiary. Dowiedziawszy się o tem, chrześcijanie skazani na wygnanie, zdołali po zwyciężeniu wielu trudności osadzić go na tronie przodków, ale niestety, pomimo tak szczęśliwego napozór wypadku, Kościół katolicki nierychło miał się doczekać upragnionego spokoju.

Wkrótce potem protestanci, również wypędzeni przez muzułmanów, połączyli się z katolikami w celu wypędzenia wroga, ale po jakimś czasie zorganizowali odrębne polityczne stronnictwo i z pierwszym ministrem na czele zaczęli stawiać opór samemu królowi, oraz neutralizować wpływ katolików na jego dworze. Niebawem pewna handlowa kompania angielska pospieszyła im z pomocą, dostarczając broni i amunicji. Wówczas rozpoczęło się nowe prześladowanie katolików, ale już przez protestantów, tem groźniejsze od poprzednich, że było lepiej zorganizowane i większymi rozporządzało środkami. ●

Dnia 24 stycznia 1892 r. zacięta rozpoczęła się walka. Katolicy, których ilość znacznie się zwiększyła, zostali napadnięci i pobici, kilku zaś misjonarzy dostało się w niewolę. Nieliczne grono chrześcijan, jakie zdołało uniknąć szczęśliwie niewoli lub śmierci, znalazło schronienie w sąsiedniej prowincyi Buddu. Gdy wreszcie X. biskup Hirth zaprotestował energicznie przeciw tym bezprawiom, popełnionym wobec przedstawicieli cywilizowanego narodu, a nawet poniekąd z ich pomocą, wówczas Anglia wysłała swych agentów w celu wysłędzenia przebiegu całej sprawy. Jednym z tych agentów był Sir Gerald Portal, który starał się o ile możności osłodzić dolę nieszczęśliwych ofiar protestanckiego fanatyzmu. Ale niestety, protestanci, ośmieleni odniesionem zwycięstwem, nie przestają dokuczać katolikom, lekceważąc bezkarnie wszelkie zasady słuszności i sprawiedliwości. Oddawna też Mwanga, który przed czterema laty pragnął się nawrócić na katolicyzm, przechylił się na stronę naszych wrogów, okazując na każdym kroku niewdzięczność i nieprzyjaźń względem katolickich misjonarzy i neofitów, którzy mu na wygnaniu udzielili schronienia, później zaś osadzili na tronie. Czy Bóg przebaczy mu czarną niewdzięczność?

Skutkiem prześladowania ze strony protestantów kilka tysięcy katechumenów, którzy nie mogli opuścić swej ojczyzny, musiało wyrzec się nadziei przejścia kiedyś na łono katolickiego Kościoła. Nie dziw też, że ilość krajowców, uczęszczających na lekcje katechizmu, zredukowała się wówczas do połowy. Natomiast około 40.000 chrześcijan i katechumenów, osiadłych w Buddu, odznacza się jak największą pobożnością i gorliwością.

Trudno znaleźć coś bardziej rozrzewniającego, niż szczegóły przesłane nam w tej mierze przez misjonarzy. Oto n. p. co O. Brard, przełożony missyi Najświętszej Panny pod równikiem, pisał do mnie dnia 1 maja b. r.:

»Zamiast się zniechęcić, wierni nasi z większą niż poprzednio, skwapliwością, biorą udział w nabożeństwie i przystępują do Sakramentów świętych. Wielu z nich nawet wyznaczyło sobie nader ciężką pokutę, aby za jej pomocą uprosić u Boga odwrócenie wszelkich nieszczęść od biednej ich ojczyzny. Codziennie niemal opowiadają nam oni o rozmaitych drobnych umartwieniach, jakie sobie zadają w tym celu. Jedni z nich poszczą, drudzy odmawiają różaniec, inni zaś w przeciagu całego miesiąca nie piją ani kropli ulubionego trunku *mwenge*, ofiarując to wszystko na intencję polepszenia losu nieszczęśliwej Ugandy. Zbytecznem byłoby mówić, z jaką pobożnością wielbią pocziwi ci ludzie ukochaną swą Matkę Maryę, której opiece powierzyliśmy wszystkie missye nad jeziorem Nyanza. Codziennie też niemal wszyscy neofici schodzą się do naszej kaplicy na różaniec, w odleglejszych zaś wioskach piękne to nabożeństwo odprawiają sami pod przewodnictwem swych wo-

dzów. Chociaż zaś Pan Bóg zsyła ustawicznie rozmaite troski i cierpienia, z drugiej jednak strony zlewa na nas hojnie zdroje łask duchownych. Ilość wiernych coraz bardziej wzrasta, tak dalece, że w ciągu roku ubiegłego ochrzciłem 562 osoby, mnóstwo zaś jeszcze ludzi oczekuje z upragnieniem tego Sakramentu, który ma im otworzyć bramę niebios«.

Daleko większe jeszcze tryumfy odnosi łaska Boża w Villa Maria, jednej z najdawniejszych i największych naszych missyj w tym kraju. Oto, co mi pisze z tamtąd O. Streicher, przełożony missyi:

»Każdej niedzieli ubogi drewniany nasz kościółek zapełnia się wiernymi, z których wielu musi przebywać kilkumilowe przestrzenie, aby wziąć udział w nabożeństwie. Ani ulewne deszcze, ani dokuczliwe upały nie zdołają powstrzymać zacnych tych ludzi od spełnienia obowiązków, nakładanych przez religię. Co tygodnia około trzystu neofitów przystępuje do Stołu Pańskiego. W dni powszednie nawet na Mszy świętej i nauce bywa od dwustu do czterystu wiernych, kilkudziesięciu zaś z nich spowiada się i komunikuje. Od piątej godziny rano, aż do szóstej wieczorem zawsze znaleźć można w kaplicy kilku chrześcijan, wielbiących pobożnie swego Zbawiciela, utajonego w Przenajświętszym Sakramencie. Niektórzy z nich spędzają tam całe godziny, klęcząc i modląc się gorąco ze złożonemi rękoma i wzrokiem utkwionym w cyboryum. Modlitwa ich prawdopodobnie nie odznacza się pięknnością stylu, ale za to prosta i naiwna wiara musi być bardzo miłą Najświętszemu Sercu Pana Jezusa!

Oprócz neofitów, mamy kilka tysięcy katechumenów, którzy już przebyli czteroletnią próbę. Wprawdzie co parę miesięcy należałoby z nich ochrzcić przynajmniej pięciuset, ale niestety, personal missyjny nie wystarcza na to, aby przygotować od razu tyle osób do tak ważnego Sakramentu. Musimy więc przygotowywać ich tylko po stu od razu i udzielać im następnie Chrztu świętego. Na intencję swego Chrztu katechumeni poszczą wytrwale po kilka tygodni, lub spędzają codziennie kilka godzin na modlitwie przed wielkim krzyżem, wznoszącym się naprzeciw rezydencji misjonarzy.

Pewnego razu widząc, że jakiś chłopak klęczy tam bardzo długo na ziemi, O. Streicher go zapytał:

— Co tu robisz?

— Boję się, czy zostanę zaliczony do liczby tych, którzy mają otrzymać w przyszłym miesiącu Chrzt święty i odbywam pokutę, aby uprosić Boga o udzielenie mi tej wielkiej łaski«.

»Pozwólcie mi też — dodaje tenże sam misjonarz — nadmienić w kilku słowach o cudownym wpływie, jaki ten Sakrament wywiera na krajowców. Dzięki, niecierpliwie i złośliwie natury stają się po Chrście świętym nader łagodne i uległe; tam gdzie panował występki, zaczyna kwitnąć cnota, tak, że często mnie

zdumiewa przedziwna czystość tych dusz, unikających starannie wszelkiego, choćby nawet najmniejszego grzechu. Nieraz podczas spowiedzi znajduję się w prawdziwym kłopotcie, nie wiedząc, jaką mam wyznaczyć pokutę ludziom, których dusza żadnym niemal nie jest obciążona grzechem. Jeżeli zaś który z neofitów popełni jakieś wykroczenie, to zwykle je rzewnymi opłakuje łzami. Gdy pewnego razu wyznaczyłem dwa dni postu jako pokutę za dwa bardzo niewielkie zresztą grzechy, penitent mój zawołał:

— Ojcie, zasłużyłem nie na dwa dni, ale na dwa miesiące postu; chciej więc zwiększyć moją pokutę.

Zdarza się też niekiedy, że wierni proszą mnie o pozwolenie odbycia publicznej spowiedzi, lub chcą położyć się przed drzwiami kościoła, aby byli deptani przez wszystkich pobożnych, idących do świątyni. Inni znowu opowiadają mi, że za nadmierne użycie trunków odmówili sobie przez dni kilka wszelkiego napoju, nie wyłączając wody i pomimo dokuczliwego pragnienia, wytrwali w tym zamiarze. Pewna kobieta spędziła nawet za pokutę całą noc na dziedzińcu, drżąc od zimna, a gdy ją zganilem za to umartwienie, jako zbyt daleko posunięte, odparła:

— Ojcie, wszak Pan Jezus daleko więcej cierpiał dla mnie.

Inna znowu spędziła kilka nocy przy łożu pewnego chorego, którego ciało uległo już rozkładowi i wstrętną woń wydzielalo. Skoro zaś jej oświadczyłem, że Pan Bóg nie wymaga tak wielkiej ofiary, zaczęła neofitka odrzekła skromnie:

— Cóż znaczą moje umartwienie wobec katuszy, jakie Zbawiciel nasz znosił na krzyżu? Czyż męka Jego i śmierć nie są wymowną dla nas nauką?

Najbardziej jednak wzniosły i rozrzewniający przykład dają nasi neofici w ostatnich chwilach życia. Skoro tylko kapłan wstąpi do mieszkania chorego, natychmiast ten ostatni zdaje się zapominać o swoich cierpieniach i odzyskiwać wyczerpane siły. Wziąwszy do ręki niewielki krzyżyk, noszony zwykle na piersiach, biedny chory zaczyna mówić o męce Zbawiciela, tudzież o tem, jak wielką rozkoszą jest cierpieć i umrzeć dla Chrystusa. Niejednokrotnie słyszałem z ust konających słowa, które mnie wprawiały w zdumienie i zamykały mi usta. Tak na przykład, pewnego razu udałem się do chorego, aby mu religijnej udzielić pociechy, nie spodziewając się wcale, że sam bardzo piękną i głęboką usłyszę tam

naukę. Innym znowu razem wezwano mnie do młodej dziewczyny, która na parę tygodni zaledwie przed swoją chorobą zaczęła uczęszczać na lekcje katechizmu. Przyspieszony oddech i zmienione rysy świadczyły, że wkrótce dla niej wybije ostatnia godzina. Ujrawszy mnie, biedne dziewczę zawołało:

— Ojcie, pragnę Chrztu!

Natychmiast też udzieliłem jej tego Sakramentu, gdyż wiedziałem, że niema czasu do stracenia. Gdy zaś woda święcona spłynęła już na jej czoło, noszące piętno śmierci, zapytałem chorej, czy bardzo cierpi.

— Wcale nie — odparła — gdyż jestem zanadto zadowolona i szczęśliwa, ażebym mogła cierpieć.

— Czegóż więc pragniesz?

— Boga, samego tylko Boga.

— Może chcesz mleka, tobym ci przysłał?

— Nie, Ojcie, niczego mi nie trzeba, tylko Boga, samego Boga.

— Dobrze, zobaczysz wkrótce tego dobrego Stwórcę. A czy będziesz wówczas za mnie się modliła?

— O tak, Ojcie, będę się modliła za ciebie, boś ty mi dał Go poznać i ukochać.

W parę godzin później urzeczywistniło się jej pragnienie, ponieważ na wieki połączyła się z Bogiem.

Takaż sama pobożność i religijny zapał panuje w missyi Najświętszej Panny Zwycięzkiej, powierzonej Ojcu Achte. W Saint Marie de Rubaga OO. Guillermain i Gaudibert spełniają obowiązki swego powołania względem nielicznych neofitów i katechumenów, osiadłych w tej miejscowości. Muszą tam oni znosić ciągle

prześladowanie ze strony protestantów i patrzeć z boleścią na rozmaite występki, popełniane na dworze króla poganina. Bądź co bądź jednak i na pogańskim tym dworze prawdziwy Bóg odbiera hołdy od stu odważnych kobiet, spokrewnionych z królem lub należących do jego służby. Oto, jak się o nich wyraża X. biskup Hirth w liście pisanym w lipcu roku bieżącego:

»Mamy tu, obok widoku powszechnego zepsucia, wzniosły przykład bohaterskiej cierpliwości i odwagi. W obecnej chwili na dworze Mwangi około sto kobiet znosi wytrwale groźby, zniewagi, głód, a nawet bicie, woląc raczej wszystko wycierpieć, niżeli się wyrzec świętej katolickiej wiary. Żadna z tych kobiet dotychczas nie została ochrzczona, codziennie zaś niemal inne towarzyszyki, które wołały względy królewskie na ziemi, niż wieczne szczęście w niebie, nakłaniają je do apostata-



Indye. — Św. Stanisław Kostka T. J., płaskorzeźba znajdująca się w Goa w kościele *Bom Jesus*; podług fot. przysł. przez JE. X. Arcybiskupa Wł. Zaleskiego.

zyi. Pomimo jednak tego wszystkie dzielne kobiety nie przestają odmawiać modlitw porannych i wieczornych, nabożeństwa za dusze zmarłych i drogi krzyżowej, jak również powtarzać katechizm, w wolnych zaś od zajęć chwilach czytają historię biblijną i inne religijne dzieła, wszystkie bowiem umieją już czytać. Codziennie też niemal odejmują od skromnego swego pożywienia trochę kurudzy albo bananów, aby je przesłać misjonarzom, również ubogim, jak one same. Wreszcie chociaż są dopiero katechumenkami, zachowują ściśle wszystkie posty i wyznaczają sobie rozmaite umartwienia, aby w ten sposób wyjednać u Boga wytrwałość i cierpliwość. Od ośmnastu miesięcy biedne te kobiety trzymane są jakby w więzieniu, nie mogąc nawet wcale widywać kapłanów, lecz pomimo tego nie dają się nakłonić do apostazji. Miejmy więc nadzieję, że Bóg miłosierny ulituje się wkrótce nad ich losem.

Nadużywam może waszej uprzejmości, zacni nasi dobroczyńcy, pisząc wam tak obszernie o Ugandzie i dlatego też uważam za właściwe zakończyć ten opis, prosząc o przebaczenie, że zbyt długo kazałam wędrować myślą po afrykańskich naszych misjach. Mam jednak nadzieję, żeście się przekonali przynajmniej, iż dobrodziejstwa wasze nie padły na grunt niewdzięczny i jałowy.

KONIEC.

List JE. X. Arcyb. W. M. Zaleskiego,

Delegata Apostolskiego w Indyach Wschodnich
do X. M. C. w Krakowie.

—o*o—

Kandy, dnia 18 czerwca 1894 r.

Szanowny Ojcze!

W ostatnim liście, pisanym z Bombaju ¹⁾, obiecałam szanownemu Ojcu przysłać fotografie miejscowości, w których przebywał bł. Rudolf Akwawiwa. Nawpół tylko mogę uścić się z obietnicy, bo tych fotografii znalazłam niewiele i niezbyt zajmujących.

Od kilku tygodni dopiero jestem z powrotem w Kandy i dotąd jeszcze do sił nie powróciłam po zmęczeniu i pracy na prowincjonalnych Synodach. Dobrze, że rzecz podobna raz w życiu tylko się zdarza, bo nie miałbym odwagi po raz drugi w taki sam sposób rozpocząć. Żał mi było, że nie mogłam dać *Missyom katolickim* obszerniejszego nieco sprawozdania z epoki tej tak ważnej w dziejach Kościoła w Indyach, ale mi czasu i siły nie stało.

Przy ciągłej korespondencji z biskupami, w sierpniu roku zeszłego rozpocząłem przy pomocy dwóch

teologów pracę około ułożenia szematów. Największy w tem miał udział O. Faseuille z waszego zakonu, były rektor kolegium w Trichinopoly, który z głęboką nauką łączył też wielkie doświadczenie pracy misyjnej w Indyach i wielką przeto był dla mnie pomocą.

Ułożenie szematów do synodów było niemałą pracą. Były to bowiem pierwsze synody prowincjonalne trzeba więc było całą prawie dyscyplinę kościelną ująć w Indyach, w prawa i statuta.

W dzień św. Franciszka Ksawerego otworzyliśmy uroczystie pierwszy synod w Bombaju, który trwał prawie miesiąc, potem jeden po drugim w Agra, Kalkucie, Madrasie, Ootakamund (prowincja Pondicherry) i w Verapoli, z przerwą między nimi tyle tylko, ile potrzeba było na podróż z jednej metropolii do drugiej. Trwało to aż do pierwszych dni maja. To też kiedy na końcu w Koczynie siedliśmy na statek ja i moi teolodzy, zupełnieśmy upadli na siłach.

Siódmy synod prowincji cejlońskiej odłożony do przyszłej zimy, bo w tej prowincji dwie nowe dyecezye zostały utworzone i powierzone Ojcom waszego zakonu prow. belgijskiej; trzeba zatem zaczekać na nominację nowego biskupa i dać mu czas rozpatrzyć się cokolwiek, bo przez lat kilka jeden biskup obie dyecezye administrować będzie.

Towarzystwo wasze mieć zatem będzie siedm dyecezyj w Indyach: Kalkutta, Bombay, Poona, Mangalore, Trichinopoly, Galle i Trinkomali.

W Kalkucie widziałem katalog prowincji galicyjskiej i bardzo mnie ucieszyło, że się tak liczną staje, i zaraz pomyślałem, że i wasi Ojcowie powinni by pomyśleć o misjach. Prowincja holenderska nie wiele liczniejsza, ma około stu misjonarzy na Jawie i okolicznych wyspach. Trudnoby może było objąć całą misję, ale bardzoby pożądanem było, gdyby Galicya mogła przyjść z pomocą innej prowincji w misjach, n. p. belgijskiej w dyecezyach cejlońskich. Pole tu wielkie dla apostolskiej pracy — i piękne pole. Klimat Indyj zabójczy dla ludzi otyłych, krwistych i chorych na wątrobę, ale dla chudych przeciwnie lepszy czasami niżli europejski.

Zresztą prowincja belgijska tak się pomnożyła właśnie od czasu, kiedy na seryo w misjach poczęła pracować; misye im wiele powołań przyniosły. Jestem przekonany, że O. Prowincyał belgijski rad byłby bardzo, gdyby kilku galicyjskich Ojców przyszło mu z pomocą dla misyi na Ceylonie, bo objawszy niedawno i Kongo, musi mieć trochę kłopotu z wyborem misjonarzy, a ja bym bardzo tego pragnął.

Seminaryum kandyjskie mieści się jeszcze w dwóch najgłupszych domach, ale za kilka miesięcy przeniesie się, mam nadzieję, na swoje własne grunta w dziwnie pięknym i malowniczym położeniu. Klimat tu bardzo przyjemny i zdrowy. Rok cały podobny do naszego maja

¹⁾ Niestety, list ten zaginął w drodze do Europy.



Indye. — CZŁONKOWIE SYNODU PROWINCYONALNEGO W AGRA, ODBYTEGO W R. 1894.

- | | | | | | | | |
|---|---|------------------------------------|---|---|---------------------------------------|--|----------------------------------|
| 1. Wikaryusz Generalny
w Agra. | 2. Prefekt Apostolski
Radżpatanu. | 3. Msgr. Poelkmann, Biskup Lahoru. | 4. Msgr. Van den Bosch,
Arcybiskup z Agra. | 5. X. Arcybiskup Władysław Zaleski,
Delegat Apostolski przewodniczący na Synodzie. | 6. Msgr. Pesci,
Biskup Allahabadu. | 7. O. Brower,
Prefekt Apostolski
Kaszmiru. | 8. Prefekt Apostolski
Betiah. |
| 9. O. Benzinger, Sekretarz Delegacji Apost. | 10. J. Fauscille S. J., Teolog Delegacji Apost. | | | | | | |

i czerwca; największe gorąco 23 stopnie R., a najniższa temperatura 15 stopni.

Od nowego roku rozpoczęły się kursa filozofii. młodzi zaś mają drugi rok retoryki...

† Władysław - Michał,
Arcybiskup Tebański, Delegat apost.

DALMACYA.

(Notatki z podróży w r. 1892).

(Ciąg dalszy).

XIII.

Raguza.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy siadłem w spalateńskim porcie na pokład statku »Iris«, zmierzając do Raguzy. Tyle pięknych rzeczy nasłuchiłem się o niej, że już nie miałem ochoty nigdzie zatrzymać się po drodze, lecz czemprowadziej chciałem zobaczyć mury starej Rzeczypospolitej, zachowującej do pierwszych lat bieżącego stulecia swoją niezależność.

»Iris« skierował bieg swój całą siłą pary ku wyspom Solta i Brazza, przepłynął koło Lissy, Lesiny, przesunął się koło Kurzoli i półwyspu Sobioncello, następnie kanałem wyspy Meledo, zmierzał do Grawosy. Spotykamy setki wysp i skoliów, jak satelity koło większych planet; jedne zielenieją od uprawnej roli i drzew owocowych, inne stoją pustkami, lub co najwięcej biełają od domku ubogiego rybaka. Gdzieś tam spotykamy silnie zbudowane twierdze, a stoją one tam nie dla parady, boć przecież może nigdzie nie toczyło się od najdawniejszych czasów tyle walk zaciętych, jak właśnie na tej części morza Śródziemnego. Grecy i Rzymianie, bizantyńscy cesarze, Wenecya, królowie Węgier, Kroacyi, Bośni, Neretwianie, Normandowie i Turcy, wszyscy się kusili po te złote jabłka Adryatyku, wydzierając ją sobie wzajemnie po krwawych zapasach. Każda z wysp większych ma swoją nader interesującą historię, pomniki, bogactwa kultury, cywilizację grecką i rzymską, ponieważ obydwa starożytne państwa zakładały na nich swoje kolonie.

Podczas gdy w fantazji przebiegam przeszłość dziejową wysp, nieubłagany płaszcz nocny zacieśnia widnokrąg. Słońce tonie w morzu, nikną jego ostatnie promienie, pozostawiając tylko na czas jakiś od strony Italii czerwoną łunę. Wreszcie i ta znika, wszystko przykrywa gwiazdzisty całun nocy. Na okręcie jednak wre życie. Pasażerowie wychodzą z kajut na pokład, tworzą się grupy znajomych, lub zawiązują nowe znajomości. Statek zamienia się w salon na raut, w którym biorą udział ludzie rozmaitej narodowości, pojęć, pragnień. Toczą się poważne rozmowy i wesołe ga-

wędki — ba — nawet improwizowany koncert jakiejś córki z końca XIX wieku, która za zezwoleniem mamy w sentymentalnym duecie wystąpiła z jakimś adonisem.

»To Włosi! — odzywa się do mnie z oburzeniem profesor Uccelini, wprowadzie o włoskiem nazwisku, lecz duszą Słowianin. — Nasi Kroaci takiego braku taktu nie okazaliby na pokładzie I klasy, wśród towarzystwa, w jakim się znajdujemy. Takiej lekkości ksiądz u nas nie znajdzie! — to są przybysze, nasi cywilizatorzy«.

Niefortunny śpiew Włochów dał znowu pochoch do krytyki »panowania« tego ludu na sławiańskiej ziemi. Znowu nasłuchiłem się tych samych zarzutów przeciw nim podniesionych, jakie już nieraz spotkałem w Dalmacyi.

* * *

O wschodzie słońca »Iris« już opływał wysepkę Calamottę, należącą dawniej do raguskiej rzeczypospolity. Widocznie więc blisko jesteśmy u celu podróży. W porcie raguskim stają tylko małe parowce, ponieważ przystań niewygodna, wszystkie większe, tak jak nasz »Iris«, zatrzymują się w bardzo dobrym i bezpiecznym porcie Grawozy, wioski położonej niedaleko Raguzy.

Po zwykłych rewizjach w urzędzie celniczym, któremu ulegają wszyscy podróżni przybywający okrętem, siadam do doróżki i każę się wieźć do dawnej stolicy miniaturowego państewka. Gościniec wije się u podnóża skał, po prawej stronie rozpostarte zwierciadło morskie niezmierzone wzrokiem w swoich obszarach. Od strony skały jak gniazdka jaskółcze, widać stylowe domki, pałacyki, wille wśród najpysznějších włoskich ogrodów. Palmy, cyprysy, platany, dęby, wznoszą się z pośrodku najpiękniejszych krzewów, azalii, chryzanteny, agaw, aloesów, kaktusów kwiecistych, a przedewszystkiem róż, których tu ilość niezliczoną znalazłem, a wszystkie w bardzo pięknych odmianach.

Zdawałoby się, że właściciele tych willi rywalizują ze sobą w upiększeniu swojej siedziby, tyle tu gustu w architekturze i tyle fantazji w budowie bram, schodów, furtek do ogrodu Wazony kamienne lub marmurowe, balustrady, kolumny, posągi dobrego dłuta, małe kapliczki, wszystko tu jeszcze piękniej wygląda, gdy się opiera o piętrzące się skały, przykryte zielonym kobiercem i barwnym kwieciami. Nic więc dziwnego, że Raguzanie obrali sobie drogę do Grawozy za swoje *corso* i całe miasto używa na niem świeżego powietrza w chwilach wytchnienia po pracy.

Przed bramą miasta zwaną Pile staje doróżka. Dalej się nie jedzie, lecz z ładunkami podróżnemi trzeba iść pieszo. Jest w tem mała niewygodna. Nie wiem jaki powód tego przepisu, ponieważ niektóre ulice wcale szerokie, równe, więc przydatne do kołowej jazdy. W każdym razie brak ruchu wozowego jest bardzo dodatnią stroną dla spokoju mieszkańców.

Miasto temsamem, że jego bramy nie stoją otwarte naocześnie jak dom zajezdny, zyskuje na powadze u podróżnika i zmusza go do zastanowienia się nad tem, w czyje progi wstępuje. Rzućmyż więc okiem w przeszłość Raguzy.

Do r. 1808 wzgórza Klek i Sutorina odległe od siebie zaledwie 6 naszych mil, były granicami rzeczypospolitej Raguskiej; prócz tego do niej należał półwysp Sabioncello, wyspy Lagosta, Meleda, Olipa, Jakljan, Dziuppana, Mezzo i Calamotta. Tworzyły one jakby wieniec na morzu Adryatyckiem, broniący do Raguzy wstępu nieprzyjaciołom; inne wysepki mniejsze, rozsiane dokoła, jak n. p. La Croma, były jej tylko ozdobą. Ani jednego nie spotykamy tu lwa skrzydlatego, ani jednego również półksiężyca, gdyż ani potężna Wenecya nigdy nie mogła zapanować nad Raguzą, ani też ostatnia nigdy nie ulegała tureckiemu jarzmu, pomimo, że sąsiednie państwa słowiańskie stokroć od niej większe dźwigały do niedawna brzemień mahometan.

Wprawdzie Raguzę płaciła daninę, raz jednej, raz drugiej potędze, czasami wzywała ich opieki, jednak umiała zachować swoją niezależność wewnętrzną przez dwanaście wieków. Ciasne ramy naszej pracy nie pozwalają na obszerniejsze studjum o Raguzie; przynajmniej kilka faktów z jej długoletniego samorządu niech nam podadzą chociaż główne jego zarysy. Zasługuje na nasze względy dlatego, ponieważ w Dalmacyi i na całym półwyspie Bałkańskim, Raguzę uchodziła za słowiańskie Ateny, handlem rywalizowała z bogatą Wenecją, a zmysłem dyplomatycznym prześcignęła nie jedno potężne królestwo.

Z końcem VI wieku przed Chrystusem, koloniści greccy założyli Epidaur w miejscu, gdzie się dzisiaj znajduje Raguzę-vecchia (stary Dubrownik), t. j. na południowo-zachodniej stronie Raguzy. Za rzymskich czasów kolonia Epidaur była miastem ludnem, kwitnącem, stała się stolicą południowej Illiryi. Z końcem IV wieku po Chrystusie była przyłączoną do cesarstwa bizantyńskiego, a w VII wieku spotkał ją los jak i większą część nadbrzeżnych miast Dalmacyi: Awarowie zniszczyli ją zupełnie. Część mieszkańców w ucieczce przed rzezią, schroniła się w pobliskie góry, do nich przybyli niektórzy Salonitanie wyrzuceni przemocą ze swej siedziby, i razem założyli dzisiejszą Raguzę. Podczas gdy cesarz Herakliusz prawie całą Dalmacyę oddał Słowianom, przyszlą rzeczpospolitą zachował dla siebie, podobnie jak i kilka innych miast nadbrzeżnych. W dwu następnych wiekach Raguzę pod panowaniem bizantyńskich cesarzy była w zapomnieniu. Gdy Michał II Balbus nie umiał otaczać jej swoją opieką przed napadami neretwiańskich korsarzy, Raguzanie musieli myśleć sami o własnej obronie, a zarazem wydostając się z pod uległości bizantyńskim cesarzom, ustanowili samorząd

na wzór miasta Rzymu. Z początku szukali jeszcze pomocy w Bizancyum, lecz niebawem doszli do takiej potęgi, że między rokiem 847 a 848 zanim przyszły posiłki z Konstantynopola, mogli przez 15 miesięcy opierać się oblężeniu Saracenów i na flocie Raguzy wojska Słowiańskie przedostają się przez Adryatyk do Włoch, aby walczyć z tym samym nieprzyjacielem.

W tym czasie rzeczpospolita wenecka opanowała już niektóre miasta dalmatyńskie i dała uczuć swoją przewagę na morzach Adryatyku. Raguzanie znaleźli się w nowym niebezpieczeństwie; należało albo uleść Wenecyi i zabezpieczyć się od napaści Neretwian, albo wystawiać się na bezustanne korsarskie napady. Jedno i drugie nie podobało się Raguzanom. Należało szukać innego oparcia. Oto Normandowie w r. 1078 odebrali Saracenom Sycylię, zdobyli Kalabrię i Apulię, a nawet przeprawiwszy się przez Adryatyk, niepokoiłi Grecyę i Albanię.

Z Konstantynopola obiecywano Raguzanom sowite wynagrodzenie, byleby chcieli złączyć się z cesarstwem w walce przeciw nieprzyjacielowi. Lecz młoda Rzeczpospolita odrzuciła wszelkie układy i wołała zawiązać traktat z Normandami właśnie dlatego, że byli rywalami cesarstwa i Wenecyi.

W XII wieku Wenecya wzięła prawie w wyłączny monopol handel w Dalmacyi. Miasta wskutek tego zaczęły upadać, groziło to samo Raguzie. Wówczas zwróciła się ona do Hercegowiny, zawiązała z nią przyjazne stosunki, zrazu tylko religijnej natury, lecz nastąpiły po nich korzyści materialne, rozwój handlu raguskiego drogą lądową daleko na Wschód. Stosunki z Hercegowiną zapłatały Raguzę w zajęcia z książętami słowiańskimi, zwłaszcza od czasu, gdy sekty Bogumitów i Patarinów opanowały Bośnię. Głównie chodziło o to, że senat raguski przyjmował do swej republiki i nadawał szlachectwo tym wychodźcom bośniackim, którzy nie dali się uwieść sekcje i wiernie stali przy wierze katolickiej. Około r. 1160 ban bośniacki Barić wysłał listy do Raguzy z groźbą wypowiedzenia wojny, jeżeli nie wydadzą zbiegów, jacy od roku tamże przebywają. Senat raguski bez wahania podjął rzuconą sobie rękawicę i następującą dał odpowiedź:

»Nowość w religii od pewnego czasu wprowadzona do Bośni, jest prawdziwą przyczyną ucieczki rodzin, które znalazły u nas schronienie. Senat bacząc na dawną konstytucję, nie mógł im odmówić przytułku; a skoro raz zaprzysiągł im wierność i bezpieczeństwo, nie czas odwoływać dane słowo bez krzywoprzysięstwa wobec Boga i ludzi... Ostatnia wojna, jakąśmy przyjęli przeciw Bodinowi może cię przekonać, że dobra wiara jest podstawą i fundamentem naszej rzeczypospolitej, dla której gotowiśmy raczej wszystko poświęcić, niż się jej sprzeniewierzyć«. Ban Barić zaraz wyruszył z armią 10.000 przeciw Raguzie. Ta uprzedza

przybycie wojsk nieprzyjacielskich i z garstką żołnierza mając pomoc tylko w Radosławie »hrabi na Kotarze« wydaje bitwę nieprzygotowanemu do niej Barićowi, po zaciętej walce pod Trebinją w Hercegowinie, znosi jego wojska. Ban ratuje się ucieczką i prosi Raguzę o zawarcie pokoju. Traktat był następującej osnowy:

»Będzie pokój i wieczyste przymierze między Banem Barićem i rządzą Raguzę. Raguzanie w Bośni, a Bośniacy w Raguzie, będą mieli wolny handel od cła i podatku. Raguzanie otrzymają wynagrodzenie za szkody, ponieważ nie oni wydali wojnę. Ban wysze co roku dla Senatu dwa psy do polowania i dwa białe konie«. Historyk raguski dodaje, że Ban wykonywał umowę skrupulatnie przez całe swe życie¹⁾.

Niebawem po chwilach tryumfu ciężki cios spotkał Raguzę. Oto cesarz bizantyński, Emanuel Komnen, nie mogąc uzyskać pomocy ze strony Wenecyi dla zawojowania Włoch, począł sam trapić flotę wenecką na Adryatyku, zajął Spalato, Trau, nawet Raguzę. Weneccyanie czemprędzej wyruszyli w pole. Najpierw wtargnęli do Raguzy, wypędzili najezdę, lecz równocześnie opanowali miasto, nie myśląc z niego ustąpić. Aliant Rzeczypospolitej raguskiej Wilhelm Sycylijski, król Normandów, zgodził się na ten krok Wenecyi. Było to w roku 1172.

Jakkolwiek sztandar weneckiego senatu na murach Raguzy nie był miłym oczom jej mieszkańców, to jednak wobec coraz to wzrastającej potęgi korsarzy neretwiańskich i Saracenów, innego ratunku nie było, jak tylko w przyjaźni z Wenecyanami. Wówczas jeszcze inaczej postępowali oni sobie ze słabymi miastami Dalmacyi.

Przed rokiem 1420 »Serenissima« przyjmowała hołdy, lecz zarazem zobowiązywała się bronić od piratów, nakazywała uznawać dożę, jako księcia lub gubernatora, lecz nie zawsze jako pana; domagała się danin, wysyłała delegatów, lecz po to tylko, aby zabezpieczyć interesa swoich poddanych. W takim też charakterze wysłała Wenecya po raz pierwszy r. 1172 Reniera Zane do Raguzy. Odtąd aż do r. 1358 prawie bez przerwy przebywają w murach Rzeczypospolitej reprezentanci weneccy (Conti), pozostawiając zresztą samorząd miasta i jego zwyczaje.

Jeden z reprezentantów weneckich imieniem Judasz, szlachcic raguski, sprzeniewierzył się Wenecyi około r. 1252 i chciał wyzwolić swe rodzinne miasto z pod opieki republiki św. Marka. Niestety, tylko przyczynił się do zamieszek, ponieważ nie wszyscy patryoci chcieli ulegać jego gwałtom. Judasz zdradzony, sam na galejach weneckich życie postradał.

Prócz traktatu zawartego między Raguzą a cesarzem bułgarskim Michałem Arsenem, dotychczas znane

kroniki nie posiadają żadnej ważniejszej akcji Rzeczypospolitej, za czasów przebywania w niej hrabiów weneckich (Conti di Venecia). To tylko jest pewnem, że w czasie nieporozumień między republiką św. Marka, a miastami Dalmacyi, te ostatnie niejednokrotnie wzywały pośrednictwa Raguzy, a zawsze z dobrym skutkiem¹⁾.

Jako przykład sprytu dyplomatycznego Senatu malleńskiej Rzeczypospolitej, może posłużyć jej wydostanie się z pod opieki weneckiej. W połowie XIV wieku sława Ludwika W. króla Węgier i Polski, następnie i Neapolu, była znaną nie tylko na całym Bałkańskim półwyspie, lecz także daleko na Wschód i Zachód. Wszyscy z jego potęgą musieli się liczyć, a w pierwszym rządzie Wenecya tocząc wieczne spory z Węgrami o posiadłości w Dalmacyi. Ragusa postanowiła z tego skorzystać. Niebawem zdarzyła się ku temu sposobność. Gdy Papież Klemens VI wysłał Arcybiskupa raguskiego Eliasza Saraka, jako legata na dwory książąt sławiańskich, a przede wszystkim do Stefana króla Racji w tym celu, aby jednocząc ich z Kościołem katolickim, zarazem zachęcić do wojny przeciw Turkom: Senat raguski daje Arcybiskupowi tajne polecenie, ażeby wyjednał opiekę króla Węgier i Polski nad Rządzą. Król Ludwik tem chętniej przychylił się do prośby, ponieważ kończyło się zawieszenie broni między Węgrami a Wenecją. Miało przyjść niebawem do wojny o Dalmację, a w takim razie mieć alianta w Raguzie, położonej na południowej stronie okolic, w których miała toczyć się walka — było rzeczą bardzo korzystną.

Gdy wojna wybuchła, Raguzanie fortyfikują stolicę i inne swoje miasteczka. Weneccyanie proszą ich o pomoc przeciw Ludwikowi. Senat nie chce odmawiać, ponieważ czas oswobodzenia jeszcze nie nastąpił i *pro forma* wysyła z pomocą jeden galar ze szczupłą garstką żołnierzy.

Fortyfikacja Raguzy bardzo się podoba reprezentantom i wodzom Wenecyi, albowiem sądzą, że w razie przegranej z Węgrami, za pomocą Rzeczypospolitej odzyskają swój wpływ w Dalmacyi.

Dla zjednania jeszcze więcej dla siebie obywateli raguskich, Senat wenecki obdarza ich obywatelstwem i przywilejami bardzo korzystnymi w handlu i dla zapewnienia bezpieczeństwa kupcom udającym się na daleki Wschód. Natomiast Senat raguski nie szczędzi komplementów Senatowi weneckiemu, dziękując za opiekę i starania podjęte około Rzeczypospolitej, składa jej również swoje współczucie wskutek utraty Zary na rzecz Węgier. W ten sposób wzajemnymi grzecznościami obydwie Rzeczypospolite pokrywały swoje ukryte zamiary i cele.

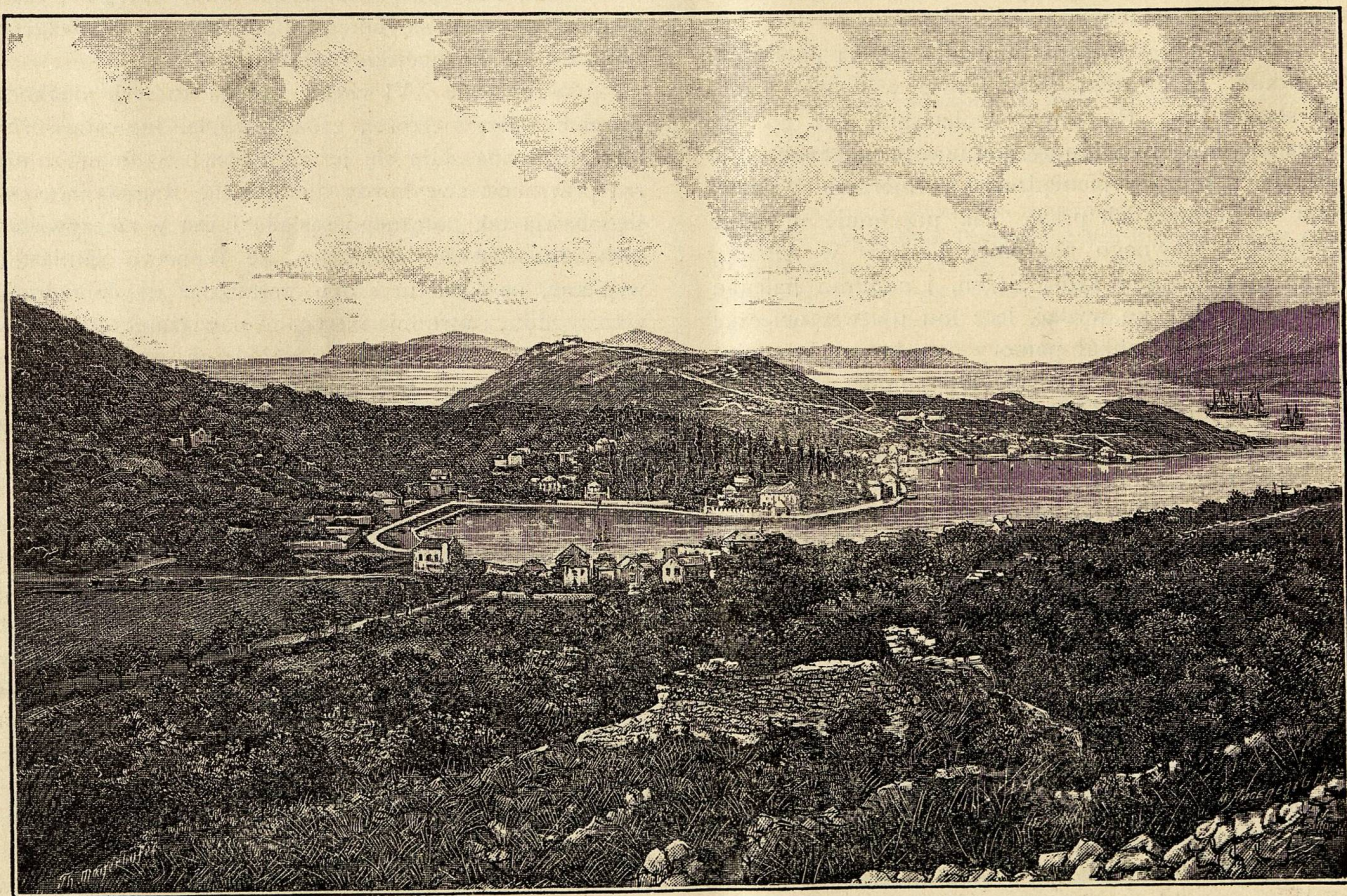
¹⁾ Zob. Francesco Maria Appendini: *Notizie Istorico-critiche sulle antichità, storia e letteratura de Ragusei*. Tomo I, pag. 266, Ragusa 1802.

¹⁾ Zob. Prof. Giuseppe Gelcich: *Dello sviluppo civile di Ragusa considerata ne' suoi monumenti istorici et artistici*. Ragusa, 1884, pag. 30.

Tymczasem prawie cała Dalmacya dostała się w ręce króla Ludwika. W chwili, gdy Wenecyanie proszą o zawarcie pokoju, spostrzegają się, że Raguzanie już poprzednio paktowali z Węgry. Aby się zemścić nad niewierną Rzeczpospolitą, Wenecya oddając Węgrom całe wybrzeża Adryatyckie, począwszy od Istrii do Draczu, włączyła w daninę także Raguzę. Jednakowoż w traktacie zawartym między czterema deputowanymi Węgier, a Arcybiskupem Eliaszem Saraka,

bardzo korzystnym dla Rzeczypospolitej raguskiej, zaznaczono, że Ragusa nie należąc nigdy do posiadłości weneckich, nie może być objętą w traktacie. Nadto król Ludwik w osobnym konkordacie z miastem r. 1359 oświadczył, że Ragusa ma zachować swoją niezależność i ma być rządzoną przez patrycyat miejscowy. Wobec takiego obrotu stosunków, reprezentanci weneccy musieli opuścić Raguzę¹⁾.

Na czele rządów Republiki stają trzech senatorowie:



Dalmacya. — Grawoza, widok ze strony północnej. (Zob str. 302).

Piotr Ragnina, Mariusz Bona i Jan Gondola. Każdy z nich co miesiąc miał nosić tytuł Rektora i reprezentować udzielnego księcia.

Pierwszym aktem publicznym Senatu raguskiego było wysłanie legata Menze do Wenecyi z oświadczeniem wdzięczności dla weneckiego Senatu za dobre stosunki między dwoma rządami i opiekę przez lat 150, a zarazem z prośbą, aby się i nadal od niej nie chciała się wymawiać.

Był to krok wysoce dyplomatyczny. Wenecya nie ujęci słowami mowcy, a zarazem mając złudną nadzieję wysłania tak jak dawniej swych reprezentantów do Raguzy, przyjęli posła z wielkimi hono-

rami i zapewnili najuprzejmiej o swej »szczerzej« przyjaźni²⁾.

Ledwie Senat uporał się ze swoją rywalką, gdy oto od Wschodu nowe grozi mu niebezpieczeństwo. Sułtan turecki Orhan opanowuje małe państwa słowiańskie, grozi Bośni i Hercegowinie, pustoszy kraje mo-

¹⁾ Pobyt reprezentantów weneckich w Raguzie zupełnie nie dowodzi poddaństwa rzpltej raguskiej wobec rzpltej weneckiej. Niezależność rządów raguskich w epoce hrabiów weneckich źródłowo przedstawił Appendini l. c. T. I, str. 162—171. Zresztą niżej zobaczymy, że cała władza Rzeczypospolitej spoczywała w senacie. Conti Veneti, a później rektorowie byli tylko jakby wykonawcami zleceń Senatu złożonego ze szlachty miejscowej.

²⁾ Zob. l. c. pag. 291—294.

carstwa greckiego. Ragusa postanawia pozyskać dla siebie sułtana; w tym celu wysyła do niego poselstwo, obdarza podarunkami i zobowiązuje się płacić stosunkowo niewielką daninę, zarazem oświadcza że na nowo ufortyfikuje Raguzę, jeżeli Turcy nad nią przyjmie protektorat. Orhan zgadza się na wszystko. W r. 1370 firmanem zabezpiecza przywileje i niezależność Rzeczypospolitej i pozwala na wolny handel w swem państwie.

W ten sposób już trzy mocarstwa, każde niebezpieczne dla Raguzy i zostające we wzajemnej nieprzyjaźni, obejmują nad nią opiekę.

Z biegiem lat stosunki zmieniły się na półwyspie Bałkańskim. Turcy opanowali prawie wszystkie królestwa słowiańskie. Rodzinom królewskim raz po raz Ragusa otwiera swe bramy gościnne; niejednokrotnie niesie im pomoc w pieniądzach, żołnierzach i flocie, i staje w obronie ich praw. Tak przyjmuje u siebie Skanderbega, sławnego pogromcę Turków w Albanii, Jerzego Brankowicza króla Serbii, i pomimo nalegań Sułtana, nie chce go wydać, lecz mu ułatwia ucieczkę do Węgier, gdzie szukał pomocy wojskowej; również w Raguzie znajdują schronienie lub pomoc, prześladowane przez muzułmanów królewskie rody Laskarisów, Komnenów, Kantakuzenów ¹⁾, Paleologów.

Naturalnie, że takie postępowanie nie mogło podobać się Turcyi. To też około r. 1460, Sułtan kaze więzić raguskich kupców, mających kantory w granicach jego państwa i postanawia zdobyć Raguzę. Senat wysyła poselstwo, chcąc go odwieść od tego zamiaru. Sułtan upojony zwycięstwem nad tyłu królami, zadawałnia się stosunkowo małą pretensją, żąda posiadłości Rzeczypospolitej raguskiej, miasto zaś samo obiecuje pozostawić Senatowi. Propozycja Sułtana wydała się jednak Raguzanom ciosem śmiertelnym. Zwołują radę senatorów i na niej następująca zapada uchwała: »Raguzanie odstąpią Turcyi wszystkie swe posiadłości, lecz swoje miasto oddadzą w ręce króla Węgier«. Niespodziewana odpowiedź tak przeraziła Sułtana, że postanowił więcej nie trapić Raguzan.

Podanie mówi, że Sułtan następnie kazał legatom raguskim pokazać sobie obraz św. Błażeja, protektora miasta. Gdy go zobaczył, miał zapewnić, że taki sam starzec, jakiego widzi na obrazie, groził mu śmiercią, gdyby dalej postępował ku Raguzie ²⁾.

Przez cały wiek XIV, XV, aż do połowy wieku XVI, Ragusa stoi u szczytu sławy. Umiejąc niezwykłym taktem politycznym utrzymać dobre stosunki z najpotężniejszymi mocarstwami i łagodząc nieporozumienia z honorem a bez strat materyalnych, miała swobodne ręce do wewnętrznego rozwoju. Ludność stolicy wynosiła wówczas 40.000, jej flota wzrosła do niesłycha-

nej cyfry 400 okrętów. Handel rozwinął się na wysoką skalę nie tylko na morzu Adryatyckiem, gdzie ją krępowała bezustannie Wenecya, ile raczej na morzu Egejskiem, Śródziemnem i dalej na oceanach okręta kupieckie Raguzy bezustannie krążyły. Senat zawiązywał korzystne traktaty handlowe z państwami Włoch, Hiszpanią, Portugalią, Francją, miał swe faktorye w Indyach, Persyi, w całym państwie tureckim, w Europie, Azji i Afryce.

Mała Rzeczpospolita dzięki swej energii i zapobiegliwości. stała się potęgą finansową i o jej względy ubiegały się Europejskie państwa.

W połowie XVI wieku potęga turecka dochodzi do niebywałej wielkości, grozi Europie. Już cała Bośnia i Hercegowina stała się jej zdobyczą; Soliman zamierza przerzucić swe hordy do Włoch. Ragusa słusznie się obawia tak potężnego sąsiada i jest w rzeczywistym niebezpieczeństwie, zwłaszcza, że Wenecya zamiast ją wspierać, na każdym kroku paraliżuje jej działalność, niszczy flotę i utrudnia intrygami nawiązanie stosunków z tymi, którzyby mogli przyjść jej z pomocą. Senat raguski wysyła najdzielniejszych swoich mówców: Jana Flori na dwór Filipa II, a Franciszka Gondolę, jako swego reprezentanta do Rzymu, do św. Piusa V z prośbą o opiekę. Dzięki pośrednictwu św. Papieża, Hiszpania obejmuje protektorat nad Raguzą. Lecz oto zbliża się sławna liga królów chrześcijańskich pod przewodnictwem Papieża przeciw tureckiej potędze. Św. Pius V zaprasza do tego międzynarodowego wojennego koncertu także Rzeczpospolitą św. Błażeja.

Wobec bardzo wątpliwej wygranej, przystąpić do ligi, byłoby narażać się na niechybną zgubę. Ragusa umiała wytłumaczyć Piusowi V swe krytyczne położenie i zachowała neutralność r. 1571 wobec walki pod Lepanto. Jednak ta neutralność nie była bezowocną dla floty chrześcijańskiej. Senat dał wiele dowodów przychylności i ocalił swą zapobiegliwością wiele okrętów ligi chrześcijańskiej tonących wśród burzy pod samą Raguzą. On też zdobył okręta wice-Sułtana Tripolisu, wiozące chrześcijan w niewolę, a mieszczanie raguscy przyjęli setki ocalonych sierót za własne dzieci. Stolica Rzeczypospolitej zajęła się wymianą niewolników wziętych pod Lepanto, i wielu znakomitym rodom chrześcijańskim zapewniła wolność.

Zaraza morowa w r. 1526 pochłaniająca 20.000 ofiar, bezustanne ścieranie się z Wenecją, Turcją, a następnie z końcem XVI wieku z piratami Uskokami, bardzo nadwężyły siły materyalne Raguzan. Lecz niczem to było wobec klęski, jaka ją spotkała r. 1667.

W dniu 6 kwietnia w godzinach rannych, kiedy wszyscy mieszkańcy zwykle zajęci są w domach, nagle powstało tak gwałtowne trzęsienie ziemi, że runęły prawie wszystkie domy, pałace, kościoły. Pięć tysięcy ludności znalazło śmierć pod gruzami, tysiące było

¹⁾ Zob. Gelcich I. c., pag. 56 i nast.

²⁾ Zob. Appendini I. c., pag. 306.

ciężko rannych lub pokaleczonych. Z duchowieństwa ledwie dziesiąta część pozostała przy życiu; rektor miasta ze znaczniejszą częścią senatorów zginął w rozwierających się skałach; nie było rodziny niepokrytej żałobą. Równocześnie na spokojnem dotąd morzu powstały jakieś gwałtowne wzburzenia z hukiem strasliwym, przyczem znaczna część floty raguskiej zatonała.

Podobnej katastrofy, jaka wówczas spotkała Raguzę, świat nie pamięta. Chociaż najdalsze państwa okazały swoje współczucie dla Rzeczypospolitej i niosły jej ofiary na odbudowanie miasta, to jednak straty nie dały się powetować. Na dłuższy czas upadł handel, rozluźniły się stosunki z ościennymi państwami. Ragusa przestała być potęgą morską i wpływ wywierać na morzu Śródziemnem. Chociaż w XVII i XVIII wieku używała spokoju, jednak jej życie polityczne jest raczej tylko węgetacją. Turcy złamani pod Lepanto, następnie pod Wiedniem, zasklepili się w swoich posiadłościach i już nie myśleli jak dawniej o coraz to nowych zdobyczach. Ragusa haraczem 10.000 dukatów opłacała Turcyi swą niezależność i zabezpieczała się w ten sposób przed Wenecją płaszczem opiekuńczym Wysokiej Porty, jednak już nigdy nie miała dojść do dawnego znaczenia.

Gdy wojska napoleońskie z początkiem bieżącego stulecia zajęły Dalmacyę, wkroczyły do Raguzy zrazu jako przyjaciele, następnie jako uzurpatorzy. Generał francuski Marmont w imieniu Napoleona I w r. 1808, ogłosił zebranemu Senatowi w pałacu rektorskim, że Rzeczpospolita raguska przestaje istnieć. Hr. Caboga jeden ze senatorów wniósł projekt, ażeby prosić Sułtana o jedną z wysp na morzu Jońskim i tam założyć nową Rzeczpospolitą raguską. Projekt nie znalazł uznania. Po ustąpieniu Francuzów z Dalmacji, Ragusa przeszła w r. 1814 pod panowanie domu Habsburskiego.

X. Marcin Czerwiński.

(C. d. n.).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

—o—o—

Europa. — Postęp katolicyzmu w Anglii. Prąd religijny Wielkiej Brytanii bynajmniej się nie zmniejsza. Dzięki misyjom odbyłym podczas Wielkiego Postu, w samym tylko Londynie nawróciło się przeszło 500 osób, a między nimi kilku protestanckich pastorów. Z drugiej strony X. biskup Bilborow donosi, że w jego diecezji 9 protestantów przeszło na łono katolickiego Kościoła. Najbardziej pocieszającą rzeczą jest to, że nowonawróceni pochodzą po większej części z inteligentnych warstw ludności, a nawet z łona anglikańskiego duchowieństwa.

Trzęsienie ziemi. — Dnia 10 lipca okropne trzęsienie ziemi doprowadziło do rozpacz wszystkich mieszkańców Konstantynopola. Wstrząśnienie to trwało zaledwie 12 sekund, ale było tak gwałtowne, że olbrzymie wyrządziło szkody.

Z pod gruzów wydobyto kilkaset trupów, cyfra zaś rannych nawet obliczyć się nie da. Kilka meczetów zawałiło się całkowicie

wraz ze swymi minaretami, większa zaś część pałaców w Stambule przedstawia obraz okropnego zniszczenia.

Również i w Japonii, a mianowicie w Tokio i Jokohamie dało się uczuć trzęsienie ziemi tak silne i gwałtowne, jakiego już od lat 30 nie pamiętają mieszkańcy tej krainy.

Azya. — Odnaka udzielona Radzy przez Stolicę Apostolską.

X. biskup Wizagapatamu otrzymał w ostatnich czasach insygnia komandora św. Grzegorza dla Jego książęcej wysokości Radzy Guyputu-Rao. Nadzwyczajna ta łaska jest nagrodą za usługi, jakie książę ten, chociaż poganin, oddał katolicyzmowi. Jak wiadomo, Rao wraz z X. biskupem Tissotem powziął myśl założenia szkół dla kobiet z wyższej kasty i powierzył kierownictwo tych zakładów Siostrom Kongregacyi św. Józefa. Godło jego w łacińskim przekładzie brzmi: *Lucem cupio*. Oby dzięki błogosławieństwu Chrystusowego Namiestnika, szlachetne to hasło całkowicie się sprawdziło!

Syrya. — Odkrycia archeologiczne. Niedawno temu rząd ottomański powierzył uczonemu Dominikaninowi O. Scheil ważną naukową misję w Małej Azji, a mianowicie poszukiwanie archeologiczne w Abu-Habbie. Pomimo licznych trudności i nader ograniczonych środków, udało się O. Scheil dokonać wśród zwalisk starożytnej Sippary wielu cennych odkryć, mających dla Assyriologów wielką doniosłość. Tak na przykład, znalazł kilka cennych dokumentów, spisanych na kamiennych tablicach, a pochodzących z czasów dynastji Khammurabi, jak również ułamki syllabaryzów, kilka hymnów i mnóstwo naczyń glinianych, mających kształt rozmaitych zwierząt. Wszystkie te wykopaliska zapelniające 50 dużych skrzyń, zostały przesłane do sułtańskiego muzeum w Konstantynopolu.

Wynagrodzone poświęcenie. — Na propozycję p. Cambona, ambasadora francuskiego w Konstantynopolu, udzielono medal honorowy O. Rougier z naszego zakonu i Matce Maryi-Teresie Butcher, przełożonej Sióstr Kongregacyi św. Józefa z Sivos, za niezwykle poświęcenie misyjnarzy i zakonnic podczas epidemii cholerycznej.

Afryka. — Apostolstwo w Afryce podrównikowej w krainie ludożerców. X. biskup Augouard, z Kongregacyi Ducha świętego, wikaryusz apostolski Ubangi, pisał w ostatnich czasach do pewnego kapłana z diecezji Mans:

»Kongo i liczne jego dopływy stanowią prawdziwą sieć rzek splawnych, na pokładzie zaś małego naszego parowca »Leon XIII« możemy przebywać wygodnie przepyszne wodne te obszary, dotąd jeszcze niezupełnie zbadane. Takie rzeki, jak Sekwana, nie zwracają niczyjej na siebie uwagi, niektóre zaś z nich, mające od dwóch do trzech kilometrów szerokości, nie są nawet oznaczone na mapie. Niestety, piękna ta sieć wodna nie łączy się wcale z morzem, gdyż trzydziści wodospadów uniemożliwia najzupełniej żeglugę na dolnem Kongo.

»Podczas uroczystości Bożego Narodzenia, odprawiłem po raz pierwszy Mszę świętą w ubogiej katedrze, wzniesionej przezemnie w Brazzaville. Wprawdzie świątynia ta nie jest jeszcze wcale ukończona, ale ozdobiliśmy ją dość ładnie i obchód uroczystości Narodzenia naszego Zbawiciela wypadł wspaniale. Trzeba było widzieć zdziwienie biednych murzynów na widok naszych ceremonij religijnych, kościelnych szat i ozdób, różnokolorowych szyb, obszernej świątyni i t. p. Działwa szkolna, użyta do służenia do Mszy świętej, wywiązywała się wybornie ze swego zadania, nie zakłócając najłżejszym szmerem uroczystej ciszy, panującej w kościele. Pobożność jej i skupienie ducha na największe zasługuje uznanie, a nawet mogłoby służyć za przykład wielu europejskim dzieciom.

»Ponieważ nie ma tu wcale rzemieślników, wszystko więc sami robić musimy, co pod pałacami promieniami afrykańskiego

słońca nie należy wcale do rzeczy łatwych. Ja sam nieraz zdjąwszy sutannę i przywdziałwszy fartuch, zabieram się do pracy, ażeby dobry dać przykład. Wprawdzie stolarstwo lub wyrabianie cegieł nie wchodzi w skład ceremoniału biskupiego, lecz mam nadzieję, że Bóg raczy mi to przebaczyć. Wszak naśladowuję w ten sposób świętego Pawła, który również własnoręcznie pracował.

»Obecnie jesteśmy zajęci zakładaniem misyi u Bondżosów, słynnych ze swego okrucieństwa, a nawet ludożerstwa. Ponieważ jest to niezaprzeczenie najdziksze plemię w całej Afryce środkowej, biednym więc naszym misyonarzom będzie tam ciągle groziło niebezpieczeństwo. Módlcie się zatem, aby Bóg raczył się nimi opiekować i błogosławił ich pracę.

»Za kilka miesięcy udam się sam do plemienia Banzirisów w celu założenia tam innej stacyi misyjnej. Siedzibą tego plemienia jest miejscowość zwana Banghi i leżąca o 200 kilometrów od Saint Paul des Rapidus, pod 4° szerokości północnej, nad samą Ubangą i jednym z ramion tej rzeki. Tam właśnie w roku ubiegłym omal nie wpadłem w zasadzkę z pewnym misyonarzem i nie zostałem pożarty przez dzikich, którzy chcieli ofiarować nam gościnność — w swoich kociolkach».

Pogrzeb w Zambezii. — O. Torrend z naszego zakonu, pisze do nas z Kualani w pobliżu Quelimane:

»W ostatnich dniach byłem świadkiem pogrzebu pewnego kafryjskiego dziecięcia, które miało zaledwie półtora roku. Bogu dzięki, że ojciec pozwolił je ochrzcić przed śmiercią.

»O zmroku rozpoczęto ceremonię oplakiwania zmarłego, polegającą na najprzeróżniejszych krzykach, jakie można sobie wyobrazić. Około 11 zdołałem wreszcie zasnąć, ale w pół godziny później obudziły mnie okropne wycia, którym towarzyszył śpiew żałobny. Potem względna nastąpiła cisza. O świcie lament rozpoczął się znowu, chociaż w mniejszym niż poprzednio stopniu i trwał aż do chwili mego wejścia do chaty, w której się znajdowały zwłoki.

»Wówczas czterej ludzie wzięli na ramiona trumienkę, aby ją zanieść na cmentarz, orszak zaś pogrzebowy poprowadził człowiek niosący krzyż. Na polowej drogi zatrzymaliśmy się pod drzewem mangowem, gdzie każdej niedzieli odprawiam Mszę świętą i wygłaszam naukę. Jest to mój kościół. Tam odmówiliśmy modlitwy zastosowane do okoliczności i w dalszy wyruszyliśmy pochód. Sami tylko mężczyźni odprowadzili zwłoki aż do grobu, poczem ojciec zmarłego dziecięcia zasadził młodą palmę na świeżo usypanej mogile, ja zaś wygłosiwszy krótką naukę o potrzebie Chrztu świętego, wróciłem do domu».

Ameryka. — Wiara i pobożność Indian z Kanady. O. Devès, misyonarz Kongregacyi Oblatów Niepokalanego Poczęcia, opowiada ciekawe szczegóły o wierze i pobożności dzikich, którym gorące pragnienie Komunii świętej dodaje sily do wyrzeczenia się pogańskich błędów i występków:

»Pewnego dnia do kościoła przychodzi jakiś człowiek.

— Ojcie — mówi — daj mi Komunię. Poprawiłem się z moich wad. Wszyscy wiedzą, że byłem takim a takim i wszyscy widzą teraz, że stałem się dobrym.

»Potem zwracając się do obecnych, dodaje:

— Powiedzcie mi, jeżeli zauważyliście we mnie co złego, a natychmiast się poprawię.

Rzeczywiście na to wezwanie jakiś młodzieniec wstaje z miejsca.

— Ojcie — woła — chciałbym ci coś powiedzieć. Oto, skoro ten człowiek za powrotem z polowania przekona się, że obiad jeszcze nie gotów, wówczas okropnie się gniewa, a przecież Pan Bóg kazał nam być cierpliwymi.

— To, co powiedział ten młodzieniec jest niestety prawdą — odpowiada katechumen, ale nie będę już się więcej gniewał na swoją żonę.

»X. biskup Durieu z Westminsteru w Kolumbii brytańskiej, wygłosił raz do swych Indian, jeszcze jako zwykły kapłan, naukę o żalu i skrusze. Gdy skończył, pewien stary Indianin odezwał się do niego:

— Powiedziałeś nam coś Ojcie, czego nie rozumiem. Oto zachęcasz nas, abyśmy po spełnieniu każdego grzechu wzbudzali w sobie skruszę. Jak można jednak obrażać znowu Boga, przyjmąwszy Go choć raz do swego serca? W naszej osadzie mieszka sześć rodzin, mogę cię jednak zapewnić, że od chwili, w której wszyscy przyjęliśmy Komunię św., nietylko nie spostrzegłem, aby ktokolwiek z nas popełnił jakiś ciężki grzech, ale nawet nie słyszałem odtąd obmowy, potwarzy, lub jakiegos gniwnego słowa. Wprawdzie nie mogę sięgnąć okiem do głębi serc moich sąsiadów, ale widzę własne serce i mogę cię zapewnić, że jest ono dobre».

Oceania. — Hołd złożony misyonarzom przez protestanta.

W ostatnich czasach w Towarzystwie geograficzno-handlowem w Paryżu, p. de Varigny, dawny pełnomocnik na wyspach Hawajskich, wygłosił znakomity odczyt o Oceanii, który przyjęto huczniei oklaskami. Prelegent po gorących słowach uznania dla O. Damiana, bohaterskiego Apostoła trędowatych, zawołał z zapałem:

»Jestem protestantem, ale chociaż protestant, twierdzę, że odmawianie swego poparcia katolickim misyonarzom jest niedarowaną zbrodnią i nie pojmuję, jak ludzie chlubiący się tem, iż interesa ojczyzny stawiają wyżej od partyjnej zawiści, mogą lekceważyć. a nawet prześladować tych najdzielniejszych pionierów kolonizacji!»

Nekrologia. — X. Jozeau, misyonarz koreański.

Dowiadujemy się o śmierci X. Jozeau z misyj zagranicznych paryskich. X. Mojżesz Jozeau urodził się w Boissière-Thonarsaise (dep. Vienne) w r. 1866, w roku zaś 1888 odjechał do misyi koreańskiej, gdzie dnia 19 lipca roku bieżącego został zamordowany przez chińskich dezerterów. Później, gdy już w Korei wróci spokój i porządek, spodziewamy się otrzymać obszerniejsze szczegóły o jego śmierci.

Bibliografia. — Notae additiae ad P. Gury quas

Alumnis suis tradebat Joannes-Maria Corre Societatis Missionum ad Exteros Missionarius Apostolicus Japoniae Meridionalis Theologiae professor in Seminario Nagasakiensi. Hong-Kong 1893. Typis Societatis Missionum ad Exteros in 8-vo, pag. 626.

Stały nasz korespondent z Japonii X. J. M. Corre, misyonarz apostolski w Kumamoto, przysłał nam swoją nader interesującą książkę, której tytuł wyżej przytoczyliśmy.

Długa praktyka apostolska nauczyła go, że wiele kwestyj moralnych, odnośnie specjalnie do stosunków misyjnych jest pominiętych w zwykłych podręcznikach *Teologii moralnej*. W tym celu ułożył dodatki do znanej powszechnie teologii O. Gury, głównie dla swoich uczniów seminarium Nagasakińskiego, które jednak doskonale mogą służyć jako podręcznik dla wszystkich innych misyonarzy, pracujących w Azji, lub gdzieindziej wśród ludności pogańskiej. Ponieważ ogół czytelników *Misyyj katolickich* nie interesuje ta książka, dlatego wstrzymujemy się od dłuższego z niej sprawozdania; zwracamy tylko uwagę tych, którzy materyą, o której traktuje, zajmują się, zapewniając, że bardzo wiele kwestyj jest poruszonych i wyluszczonych, przydatnych także moralistom w naszych stronach i naszych stosunkach.

X. M. C.